ROK IX. SIERPIEŃ—1909 ROK. TOM VIII (XCIII).





DZWONEK Częstochowski

PISMO MIESIĘCZNE ILLUSTROWANE

POD REDAKCJĄ KSIĘDZA JÓZEFA ADAMCZYKA

Adres Redakcyi: Częstochowa, pod Jasną Górą. — Filia w Warszawie: Marszałkowska Nr. 101.

1909.

Rok 1909.



„Dzwonek Częstochowski"

PISMO MIESIĘCZNE ILUSTROWANE

Pod redakcyą księdza JÓZEFA ADAMCZYKA.

Ośm lat upływa od chwili, gdy po raz pierwszy stanęliśmy przed Wami, **Czcigodni i Szanowni Czytelnicy i Przyjaciele** „Dzwonka Częstochowskiego". Zaofiarowaliśmy Wam pracę i trudy,—rozpaliliśmy pochodnię, by rzucić ciepły, dobroczynny promień światła,—by walczyć z ciemnotą. O ile nam sił starczyło, staraliśmy się wytrwać na posterunku. „Dzwonek Częstochowski" poszedł po miastach i siołach, a wszędzie niósł słowa prawdy, nauki i zachęty do miłości Boga i bliźniego. Pomimo burz, jakie nad krajem naszym nieszczęsnym szalały, patrzeliśmy z gorącą wiarą w lepszą przyszłość, ufni w pomoc Maryi, której Imię Przenajświętsze wypisaliśmy na swoim sztandarze I pod tem godłem wytrwaliśmy. Mając przed oczyma jasną swą Gwiazdę przewodnią, pracowaliśmy na chwałę Imienia Maryi i dla dobra naszych współbraci. Staraliśmy się „Dzwonek Częstochowski" rozwijać i udoskonalać. W pracy tej pragniemy wytrwać i nadal.

W roku 1909, jak i za lat poprzednich, zachęcać będziemy do szlachetnych czynów, do solidarności bratniej, przedstawiając piękne przykłady poświęcenia dla Wiary i Ojczyzny i wzory godne naśladowania. Imieniem Maryi zagrzewać będziemy do walki z największym wrogiem ludzkości, **z ciemnotą i niewiarą.**

W tym celu, a także dla złożenia hołdu Królowej Niebios, Matce Boskiej Częstochowskiej drukować będziemy.

„Maluczcy i wielcy czciciele Maryi, Matki Boskiej, w pochodzie wieków".

Zasłużony pisarz Józef Grajnert dał nam bardzo cenną pracę: **„Sławni w dziejach naszych obrońcy Jasnej-Góry w Częstochowie".**

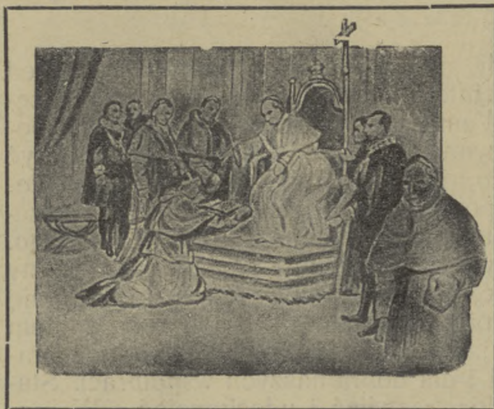
W dziale tym drukować będziemy wielce wartościową pracę Marcina Kopca: **„Król Jan Sobieski na Śląsku".**

W codziennym pacierzu prosimy: „Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj". I Stwórca miłosierny nigdy nie odrzuca prośby łaknącego, bo jest Ojcem wielkich i maluczkich, mędrców i prostaczków. Wszystkim bez wyjątku zostawił Słowo Boże, Ewangelją, którą Chrystus Pan, Bóg- Człowiek swem życiem, czynami wypisał na kartach dziejów ludzkości. Ta Ewangelia, to chleb powszedni dla duszy. Dlatego więc dajemy w „Dzwonku Częstochowskim" wyjątki z **„Żywota Pana Jezusa"**

W dalszym ciągu głosić będziemy chwałę Maryi, informując Czytelników naszych o wszystkiem, co dotyczy tej chwały tak w całym świecie jak i w sercu naszego kraju, na Jasnej-Górze w Częstochowie.

By podnieść ducha, który często w tych ciężkich czasach słabnie, wywoływać będziemy z cieniów przeszłości spiżowe postacie bohaterów naszych. Opisywać będziemy miejscowości drogie sercu Polaka. Dla umocnienia w Wierze wskazywać będziemy postacie rycerzy Chrystusowych, męczenników i bojowników za Wiarę naszą świętą.

W dziale tym, obok innych, mamy przygotowaną nader zajmującą pracę illustrowaną, p. t.: **„Pierwszy Polak męczennik za Wiarę świętą w Japonji".**



Ojciec Święty Leon XIII błogosławi wydawnictwo **»Dzwonka Częstochowskiego«**. Również błogosławieństwa **»Dzwonkowi Częstochowskiemu«** udzielił i Ojciec Święty Pius X.

A także piękną pracę ilustrowaną: **„Święty Piotr Klawer, Apostoł murzynów".**

Prace te wzruszą najzatwardzialsze serca i pobudzą do miłości Boga i bliźniego.

Będziemy nadal rozwijać bogaty dział pogadanek naukowych z dziedziny odkryć, wynalazków, hygieny i wszelkich gałęzi wiedzy. Będziemy informować Czytelników naszych **o wszystkiem co się dzieje na szerokim świecie tak pod względem politycznym, jak i społecznym.**

W dziale powieści i podróży pomieścimy utwory, które najobojętniejszego nawet czytelnika zaciekawić potrafią, a mianowicie. **„Podróż do wnętrza ziemi"**, oraz drugą, niemniej zajmującą i pouczającą: **„Zimowanie wśród lodów".**

Dla żądnych wrażeń z podróży po zamorskich krajach, podamy opowiadania ilustrowane, p. t. „**Przygody wychodźcy polskiego w krainie Indyan czerwonoskórych**".

W dziale wychowania szkolnego i domowego pod tytułem: „**Z domu i ze szkoły**" damy obraz najnowszych zdobyczy wiedzy i umiejętności w tym kierunku. Znajdą tu rodzice i wychowawcy najniezbędniejsze wskazówki, jak wychowywać nowe pokolenie.

W powieści Bolesława Biernackiego „**Kościuszko**", znajdziemy barwny obraz odrodzenia ojczyzny naszej z przed wieku; zaś w opowiadaniu Stefana Gębarskiego, p. t. „**Nad Gopłem**", dzieje męczeństwa i odrodzenia polskiego wśród odwiecznej walki z zaborem niemieckim.

Wiedząc, jak pożądaną jest dla każdego dobra humoreska, anegdota, żart rozweselający, rozserzymy i urozmaicimy ten dział, podając stale tego rodzaju utwory p. t. „**Ze skarbca humoru polskiego**".

Chociaż powtarzając za poetą: *„Za swą pracę nie chcemy wawrzynów, lecz w własnem sumieniu nagrody"*, to jednak musimy wyznać, że wielką pociechą dla redakcji „Dzwonka Częstochowskiego" jest uznanie, jakiego dowody odbieraliśmy i odbieramy od wszystkich warstw społeczności polskiej. Papieże: ś. p. Leon XIII i obecnie panujący na Stolicy Świętej Pius X udzielili „Dzwonkowi Częstochowskiemu" błogosławieństwa.

Również Biskupi, kapłani i świeccy ludzie wyrażali nam niejednokrotnie swe uznanie. Powtórzymy w całej rozciągłości list Jego Ekscelencyi ks. Biskupa Zdzitowieckiego, przysłany nam po objęciu przez Niego rządów.

Szanowny Księże Redaktorze!

Każdemu wiadomo, jak wielką jest potrzeba pism peryodycznych, któreby dawały duchową i społeczną strawę. Zasady bowiem i poglądy w pismach zawarte powoli wsiąkają w umysły i urabiają serca czytelników. To też uznanie Ci się należy, Szanowny Księże Redaktorze, za zbożną Twą pracę w „Dzwonku Częstochowskim", za rozsiewanie zdrowego ziarna na roli rodzin chrześcijańskich, dla których na wzór i obronę podajesz Najświętszą Bogarodzicę Maryę. Że praca Twa była potrzebna, świadczy poczytność „Dzwonka Częstochowskiego".

Kształć więc umysły i urabiaj serca, ufny w łaskę Bożą, opiekę Maryi i pomoc współpracowników, których wyszukiwać z pownością nie potrzebujesz.

Zapewniając o swej dla „Dzwonka Częstowskiego" życzliwości, zasyłam pasterskie błogosławieństwo Tobie, Szanowny Księże Redaktorze, Współpracownikom i Czytelnikom.

(popisano) Ks. Stanisław Zdzitowiecki
Biskup Kujawsko-Kaliski

Włocławek, d. 2. Lutego 1903 r.



Medal złoty, którym nagrodzono „Dzwonek Częstochowski" na kongresie katolickim w Fryburgu.

Wszystkim prenumeratorom „Dzwonka Częstochowskiego“ ofiarujemy **wspaniałe premium,** które będzie ozdobą prawdziwą każdego katolickiego domu; będzie to kopia pięknie kolorami wykonana

„Cudownego Obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej“.

Mamy nadzieję, że „Dzwonek Częstochowski“ będzie nadal, jak i za lat poprzednich, mile przyjęty i pożądany w każdym domu polskim, gdzie drogą jest pamięć tradycyj narodowych i tego miejsca świętego, jakiem jest Jasna-Góra, będzie pożądany w każdej rodzinie, gdzie **biją serca** polskie i umiłowaną jest **cnota i prawdziwa oświata.**

Na kongresie katolickim we Fryburgu nagrodzono redakcyę „Dzwonka Częstochowskiego“ medalem złotym, a na kongresie Maryańskim wszechświatowym w Rzymie biskupi i kapłani wyrażali publiczne pochwały dla naszej pracy.



Cinquantenario del dogma dell'Immacolata Anno MCMIV
Comitato Centrale (Roma) Circolo Immacolata
Via Torre Argentina 76

CONGRESSO MARIANO MONDIALE

G. GROSSO

Rzym d. 5 Grudnia 1904 r.

Do Szanownej Redakcyi „Dzwonka Częstochowskiego“

Kongres wszechświatowy ku czci Niepokalanej Matki Bożej w Rzymie odbył się z niezwykłą okazałością. Brało w nim udział kilkunastu Kardynałów, parę set biskupów, i niezliczona ilość uczonych z całego świata. Mowy były prawie wszystkie wygłaszane ku czci Matki Bożej. O Dzwonku Częstochowskim przemawiał Kanonik od tej kościele Matki Boskiej Śnieżnej: Ksiądz Głowieński w sekcyi prasy, zasypywany przez Księży z Polski i czcicieli Maryi tysiącami oklasków. Jego Excellencya Ksiądz Arcybiskup Szymon i inni bawiący tu biskupi polscy z wielkiem uznaniem wyrażali się o Dzwonku jako wydawnictwie poświęconem czci Maryi. Najlepszem w naszym kraju.

Uczestnik kongresu w Rzymie Ksiądz Kazimierz Grabowski.

Opłata za „Dzwonek Częstochowski” wynosi: rocznie z przesyłką pocztową rub. 4, półrocznie rub. 2, kwartalnie rub. 1. W Austryi: rocznie koron 10, półrocznie koron 5.—W Niemczech: rocznie marek 9, półrocznie marek 5. W Ameryce 2 dolary 50 cent. rocznie (5 rubli). Cena ogłoszeń: Na całej stronicy rub. 12, na połowie stronicy rub. 8, na czwartej części stronicy rub. 5 i za wiersz 75 kop. Prenumeratorzy miejscowi za odnoszenie do domu dopłacają 10 kop. kwartalnie,

---

Listy i przesyłki pieniężne należy adresować w ten sposób:

Do redakcyi „Dzwonka Częstochowskiego“ pod Jasną-Górą w Częstochowie.

ROK IX. SIERPIEŃ—1909 ROK. TOM VIII (XCIII).

DZWONEK CZĘSTOCHOWSKI

PISMO MIESIĘCZNE ILLUSTROWANE

POD REDAKCYĄ

Księdza JÓZEFA ADAMCZYKA.



CZĘSTOCHOWA

Adres Redakcyi: Częstochowa, pod Jasną-Górą.

Filja w Warszawie: Ulica Marszałkowska Nr. 101.

1909.

Treść tomu sierpniowego 1909 roku,

ogólnego zbioru XCIII.

ILLUSTRACYE:





Wniebowzięta.

I stanęli w boleści zadumie,
Z trwogą w sercu, przelękli i niemi,
Wzrokiem tęsknym wodzili po tłumie,
Przywołując Ją jęki rzewnemi...
Gdzież ich Matka, Dziewica Przeczysta,
Co krzepiła tak w chwilach tęsknoty?...
Na wezgłowiu Jej szata falista,
Róż przedziwnych rzucone nań sploty.
Woń niebiańska rozlewa się wkoło,
Chórów pienia gdzieś słychać w oddali,
I głos cichy: Ach! szczęsny, kto zdoła
Z duszą czystą przepłynąć po fali...
A na ziemi, ach! smutnej łez glebie
Pozostali ci biedni—tęskniący,
Zrozumieli, że Matka ich w niebie...
U stóp łoża opadli płaczący...

Elwira Korotyńska.





O ŻOŁNIERZU Z DUŻEMI SKRZYDŁAMI

OPOWIEŚĆ HISTORYCZNA.

Podlasie, z którego się potrosze naśmiewają Mazurzy, jest dla piszącego te słowa drogą, kochaną ziemią, bo wiąże się z nią wiele jego pięknych wspomnień życiowych. Boże kochany! któraż zresztą z ziem naszych

nie ma od Boga danych piękności! któryż z ludów polskich nie ma w sobie obok wad ludzkich i wielu cennych przymiotów. Mają ich wiele i podlasiacy, wśród których zagnieździła się liczna, drobna szlachta zagonowa, która niegdyś królów obierała...

Podlaskie miasteczko Łosice, dziś osada, podczas wydarzeń, które tu przedstawimy, liczyło przeszło 200 domów drewnianych i było starostwem niegrodowem, to jest nie mającem sądów starościńskich, a starostowie, którzy je w dożywocie dostawali wraz z przyległemi wioskami, płacili do skarbu czwartą część swoich dochodów na utrzymanie wojska Rzeczypospolitej polskiej.

Natomiast ustanowili królowie polscy w Łosicach wójta, który przy pomocy ławników sądził sprawy i wydawał wyroki, a miał sobie nadane, oprócz daniny od mieszczan, 4 włóki gruntu i staw duży, zarybiony. Mieszczanie zaś za dawnych czasów mieli tu 80 włók ziemi. Wójt wraz z mieszczanami wybierał burmistrza i rajców, którzy wraz z nim pilnowali porządku miasta i spełniali władzę policyjną.

Po nad domami górowały tu oddawna szczyty i wieże kościoła farnego św. Zygmunta i mniejszego pod wezwaniem św. Stanisława, a na wieży murowanej drewnianego ratusza widniał napis łaciński, który się tłómaczy, iż: „mąż oświecony sam siebie strzedz będzie“.

Było to w roku 1660. Szwedzi, przyzwani do Polski przez niektórych hardych i znieprawionych panów, ujętych obietnicami króla szwedzkiego, prawie całą już Polskę zalali. Lecz zamiast nią rządzić uczciwie, jak król szwedzki przyrzekł, pustoszyli kraj, palili miasta i sioła, a będąc protestantami rabowali kościoły, z ziemią równali zamki obronne. Jedynie tylko skruszyli sobie zęby o mury Częstochowskiego klasztoru, który się im w żaden sposób poddać nie chciał, że w końcu ze wstydem od niego odstąpić musieli.

Zawstydzili się też i obywatele kraju, co tak łatwo dali się wziąć na lep hojnego w obietnice króla szwedzkiego Karola Gustawa. Zachęcona dzielną obroną Jasnej-Góry szlachta wraz z ludem miejskim i wiejskim powstała zbrojnie przeciwko najeźdcom. Cudów waleczności dokazywał Stefan Czarniecki, ruszyli się za nim inni przywódcy zbrojnych oddziałów przeciwko srogim najezdnikom; sprowadzono prawowitego króla Jana Kazimierza ze Śląska, dokąd przed Szwedami ustąpił i niebawem najeźdzca całą Polskę miał przeciwko sobie.

Gościńcem, który prowadzi z Łosic ku Siedlcom, postępowała rota husarzy Jerzego Lubomirskiego, marszałka wielkiego koronnego. Mijali właśnie kuźnię, stojącą na krańcu miasteczka. U ramion tych rycerzy, połyskujących stalowemi zbrojami, powiewały duże, w górę wzniesione skrzydła z piór orlich i innych, obsadzone w żelazne listewki, zawiaski. W ręku trzymali dziewięciołokciowe kopije czyli dzidy, wytoczone z drzewa lekkiego, osikowego, polerowane, wewnątrz wydrążone dla lekkości, z żelazną oprawą u rękojeści i stalowemi piórami czyli prętami po bokach. Skrzydła te przy ataku bardzo straszyły nieprzyjacielską konnicę. Na końcach ich kopij były groty stalowe, czworograniaste, zaostrzone, a pod niemi powiewały proporczyki, czyli chorągiewki. Na głowach mieli ci rycerze hełmy żelazne, u boku krzywe szable, a przy siodłach długie, proste miecze czyli koncerze, i prócz tego obuszki. Śnieg skrzypiał pod kopytami ich rosłych, dzielnych koni, a słońce styczniowe przeglądało się w uzbrojeniach rycerzy. Za nimi jechała to na koniach, to na wozach gromada służby, czeladzi owych rycerzy.

Przed kuźnią stała gromadka ludzi, przyglądających się ciekawie mimo przechodzącej husaryi. Kowal z zawiniętemi rękawami od koszuli, w fartuchu skórzanym i z młotem w dłoni, człek w sile młodości, — przy nim również młoda kobieta, trzymająca pięcioletniego może chłopczyka za rękę, znajdowali się w pierwszym rzędzie ciekawych.

Chłopczyka niezmiernie zajęły owe bujne skrzydła u ramion husarzy. Gdy go potem pytał ojciec: — Waluś, a czembyś ty chciał być? — chłopczyna odpowiedział:

— A! chciałbym być żołnierzem z dużemi skrzydłami.

Kowal nazwiskiem Ciepiel, i owa młoda kobieta, żona jego, a matka chłopięcia, śmieli się z tych niedościgłych marzeń dziecięcych, boć nie było im tajno, że co husarz, to szlachcic, a na takie uzbrojenie i na konie trzeba mieć dużo pieniędzy. Nie im, chudopachołkom, myśleć o takich rzeczach!

W miesiąc potem, gdy nasi z nieśmiertelnym Czarnieckim uganiali się za Szwedami, całe prawie miasteczko Łosice zgorzało z ręki tego srogiego wroga.

We dwa znowu miesiące potem, przechodził tędy ze swą hordą chan, czyli książę tatarski, który za umówioną zapłatą pomagał królowi polskiemu przeciwko Szwedom. Pomoc jego się przydała; ale też chan drogo sobie sam za nią zapłacił, gdyż, jak świadczą dzieje, łupił kraj, porywał, gdzie mógł, ludzi, i pędził w jassyr, czyli niewolę, daleko, w stepy nad Czarne morze. Na Podlasiu dużo w ten sposób potajemnie nakradł ludzi.

Właśnie oddział konnicy tatarskiej zatrzymał się przed znaną nam kuźnią. Pohańcy rozkazali kowalowi obejrzeć kopyta i ocele podków, przybić hufnalami kopyta obluźnione, a potrzaskane zastąpić nowemi. Gdy ko-

wal uznojony wraz z chłopcem dmącym w miechy skończył robotę, Tatarzy nagle związali mu w tył ręce powrozem, przytroczyli do jednego z koni i wydobywszy szable, popędzili z nim dalej, ku Międzyrzecowi.

Napróżno się przemocy opierał kowal, nadaremnie krzyczała w niebogłosy na rabusiów zrozpaczona kowalka, a inni mieszczanie wygrażali pięściami. Nic nie pomogło. Tatarzy roześmieli się szyderczo, pogrozili szablami, jeden z nich nawet wypuścił strzałę z dużego łuku na mieszczan, i pognali kowala dalej. Pochwycili go tak łapczywie, znać, dla tego, że był im przydatny do kucia koni i innych robót kowalskich.

Myślano w Łosicach, że go puszczą niedługo z drogi i powróci zdrowo do domu, ale napróżno go żona stroskana wraz z Walusiem i młodszą od niego córeczką oczekiwała! Uprosiła Starostę o pomoc w tym razie; lecz ten napróżno wysłał swoich pachołków za Tatarami. Zniknęli oni za lasami za rzekami, a kowal przepadł jak kamień w wodzie.

Waluś, który się zanosił od płaczu, jak mu tatusia zabrali rabusie, ciągle powtarzał, że chciałby mieć taką dużą pikę, jak ci skrzydlaci rycerze, żeby nią na wylot wszystkich Tatarów poprzebijać.

Rok za rokiem upływał, a kowala jak niema tak niema!... Napróżno wójt i sam starosta wdali się w tę sprawę, pisali do króla; ale onych czasów krwawych, wśród zamieszania w kraju i ciągłych wojen, trudno było o cośkolwiek się dopytać, a tamci więcej zatraconych odszukać. Tej samej doli, co kowal, doznało więcej ludzi w kraju, a między nimi było niemało kobiet i dzieci.

Już i pokój wreszcie zawarto z wygnanymi Szwedami, już i nieszczęśliwy Jan Kazimierz zrzekł się cierniowej korony i wkrótce umarł zakonnikiem we Francyi, już nastąpił po nim król Michał, a o biednym kowalu ani było słychu! Żona opłakała jego stratę, a Waluś chciał jak najprędzej urość, by ojca odszukać i bić na umór Tatarów. Strapiona niewiasta, wypuściwszy kuźnię w dzierżawę, sama pomieściła się w jednej izbie własnego domku z dziećmi, które podrastając, pomagały jej na ogrodzie w uprawie ogórków, z których Łosice oddawna słynęły i zbyt miały szeroki.

Powoli odbudowało się miasteczko, dźwignęła się i parafialna szkółka, do której przez lat kilka Waluś i siostrzycka jego chodzili.

Chłopiec, urodzony ze zdrowych i silnych rodziców, rósł niby dębczak dorodny. Matka oddała go do terminu do miejscowego zduna. Ale gdzie jemu kafle robić lub piece stawiać! Jego przedewszystkiem wabiły konie; wpraszał się też niejednemu z parobczaków mieszczańskich, by go brali z sobą, wyjeżdżając w niedziele i święta po nieszporach lub niekiedy nocami z końmi na łąki, na trawę.

Siedząc, niby kępka jaka na grzbiecie końskim, czuł się szczęśliwym, jakby go kto prawdziwie na sto koni wsadził! I wprawiał się co raz więcej

w konną jazdę, galopując nawet z drugimi koniarkami na wyścigi. Był odważny i wcześnie nauczył się pływać po rzeczce Tocanie, co pod miastem przepływa. Raz nawet wyratował dziewczę, córkę zduna, u którego pracował, gdy już, już topiła się w rzece. Zrobiło mu to pewien rozgłos w mieście.

Starosta, dowiedziawszy się, że Walek przedewszystkiem umiłował sobie konie, a do zduństwa nie ma ochoty, ułożył się z majstrem chłopca i zabrał Walka do siebie do stajni. Poznawszy w nim wielką, sprawność w obchodzeniu się z końmi, po latach paru zrobił go pomocnikiem swego koniuszego.

Walek dosięgnął już dziewiętnastego roku życia. Było to w czasach, gdy na Ukrainie wrzała jeszcze wojna domowa ze zbuntowanymi Kozakami, a Tatarzy i Turcy, korzystając z tych niesnasek i zamieszek, raz wraz kraj polski napadali. Oganiał się i tłukł ich, co się zmieściło, wielki hetman koronny Jan Sobieski; ale gdzie drwa rąbią, tam wióry padają, przeto i naszych sporo w tych wojnach ginęło i ciągłych trzeba było posiłków w ludziach orężnych.

Było to w niedzielę pierwszą po świętym Michale, gdy Walek wracał na starostwo konno z drogi, jeżdżąc za interesem starosty. Zaledwie konia rozsiodłał w stajni, gdy pachołek zawezwał go na pokoje do pana starosty. Ten odezwał się w te słowa do Walka:

— Wiesz już zapewne, chłopcze, że król nasz Michał, obłożnie chory, kończy niewesoły swój żywot. I o tem może słyszałeś, że Turczyn zdobył już wielką naszą twierdzę Kamieniec i całe ogarnął Podole, a nawet i Lwów oblegli.

— Coś o tem, miłościwy panie, już słyszałem — odpowiedział Walek — jak i o tem, że nasi mają Turczynowi jeszcze płacić co rok po dwadzieścia dwa tysiące dukatów daniny!

— Otóż, mospanie — ciągnął dalej starosta — za wdaniem się wielkiego hetmana Sobieskiego, sejm w Warszawie uchwalił wojnę z Turkami, by ich wypędzić z naszych granic, odebrać co swoje i zmazać haniebny układ zawarty w Buczaczu.

— Bóg da, miłościwy panie — rzekł Walek — że nasi zmyją tę hańbę.

— Tak — mówił Starosta — nasi bić się umieją; ale na to, mospanie, trzeba mieć sporo ludzi orężnych. Otóż otrzymałem i ja piśmienny przykaz od sejmu, abym narówni z innymi starostami dostawił prędko kasztelanowi do Siedlec, co się da, ludzi z orężem pod rozkazy hetmana wielkiego. Tedy z woli mojej padł ku temu wybór i na ciebie Walku, boś krzepki i zwinny; więc miej się wkrótce do drogi.

— Jak trzeba, to mus, miłościwy panie! — odpowiedział Walek —

trza bronić do zdechu tej świętej ziemi naszej, a mam też z tymi poganami na pieńku za porwanie mi biednego ojca.

Pochwalił starosta tę gotowość Walka do boju, i zaraz nazajutrz oddał go pod komendę rotmistrza, który w Łosicach na polu wprawiał do musztry rekrutów, poduczał ich zręcznych obrotów, władania szablą, i zażycia koni, które ostrzeliwano, żeby się nie płoszyły od strzałów na wojnie. Zrazu Walek został czeladnikiem oficera, namiestnika przy rotmistrzu; ale i czeladnicy musieli umieć, jak trzeba władać orężem i zażywać koni w potrzebie.



Jan III Sobieski.

Po dwóch tygodniach takiej nauki, młody Ciepiel, dostawszy pod wierzch konia młodego dereszowatego i szablę do boku, wraz z oddziałem dragonii starosty łosickiego przyłączył się do chorągwi, to jest oddziału Wacława Leszczyńskiego, który był wtedy wojewodą podlaskim.

Tak ten oddział jak i inne drużyny orężne pociągnęły pode Lwów, w dzisiejszej Galicyi, a ztamtąd zaraz wyruszyły przez Podole do Bessarabii, gdzie pod Chocimem stał już z wojskiem koronnem wielki Jan Sobieski. Tu miał stoczyć bój stanowczy z Turkami, którzy w ogromnej liczbie okopali się obozem po drugiej stronie miasta, mając za sobą głęboką rzekę Dniestr. Sobieski zaś rozbił namioty i okopał swój obóz, mając przed sobą rzeczkę Zbrucz, która oblewa miasto Chocim i wpada do Dniestru.

Jak zwykle, dla braku u nas regularnego wojska w pokaźnej liczbie, stawaliśmy zawsze naprzeciw nieprzyjaciela ze szczuplejszemi szeregami. Powiększył je tutaj nieco swem rycerstwem hetman litewski Pac. Mimo to, duch w nielicznem tem wojsku był dzielny; wszyscy nabrali otuchy, mając niezwyciężonego Sobieskiego na czele, którego też nieprzyjaciel, już nieraz bity przez niego, bał się jak piekła, jak stu tysięcy szatanów!

Przed rozpoczęciem bitwy przezorny ten wódz chciał wpierw dostać języka od nieprzyjaciół, to jest pochwycić znienacka, co się da ich żołnierzy, i wypytać, choćby pod przymusem, o różne rzeczy.

Wyrwał się na ochotnika namiestnik, to jest pomocnik rotmistrza w dragonii łosickiej z podkomendnymi. Wprosił się do tej wycieczki i nasz młody Ciepiel, który, jak się rzekło, był czeladnikiem żołnierskim przy tymże namiestniku, jako przy oficerze szlachcicu.

Była noc; księżyc w pierwszej kwadrze świecił na niebie, ale obwiodła go kołem szerokiem mglista „lisia czapka“, i w powietrzu mgła się słaniała, od której nie bardzo było widno do okoła. Ułatwiło to naszym zuchom obejście z boku obozu nieprzyjacielskiego, w którym zdaleka błyszczały ogniska i przedzierały się nawoływania straży. Wytrzyszczali nasi oczy na wszystkie strony, nic nie mówiąc do siebie i upatrując gdzie jakiej kupki bisurmanów.

Tak jadąc stępa wąwozem, zbliżyli się pod jakieś opustoszałe budynki, zkąd ich dochodził gwar i stuk młota o kowadło. Podjechali bliżej, ostrożnie, w ciemności nocnej, bo księżyc skrył się w ową chwilę za chmury i ujrzeli rozłożony na podwórku ogień, przy nim kowadło osadzone w pieńku, a przy kowadle jakiegoś człowieka z długą brodą, znać kowala, któremu chłopiec pomagał ręcznym mieszkiem rozdmuchiwać ogień, podkuwać konie, to spajać łańcuszki i wędzidła uzdeczek. Dookoła ogniska stała gromada Tatarów z szablami krzywemi u boku, z łukami przewieszonemi przez plecy, na których też były kołczany napełnione strzałami. Niektórzy trzymali w ręce plecione z rzemienia nahajki.

— He! *giaur* (psie niewierny) — zawołał z nich jeden rozgniewany o coś na kowala, i z całej siły przylepił mu nahajkę na plecy, pokryte tylko koszulą.

Skrzywił się kowal boleśnie, a gdy go Tatarzyn powtórnie uderzył,

wtedy wyszedłszy widocznie z granic cierpliwości, porwał kleszczami za rozpaloną do czerwoności sztabę żelaza, i klnąc po polsku:

— A! ty psia krew, pogański synu, ja ci dam bicie! — i palnął sztabą przez łeb Tatarzyna. Ten padł na ziemię. Błysnęło kilkanaście szabel w tłumie Tatarów, i z pewnością porąbaliby w kawałki biednego kowala, zasłaniającego się od nich rozpaloną sztabą. W tem namiestnik dragoński szepnął do swoich: — „Ten kowal widocznie nasz rodak. Wiara! nie strzelać!“ — i zawołał głośno:

— Hajda! w nich! rąb i kłuj!



Husarya polska zdobywa sztandar muzułmański.

Rzucił się piorunem oddział dragoński w tłum pohańców z dobytemi szablami. Nim ci się opatrzyli, już kilkunastu z nich padło pod razami szabel i kopytami rozpędzonych koni. Zaledwie kilku zdołało dopaść koni i zbiedz. Nie próżnował i nasz Ciepiel w tej siekaninie; może sobie przypomniał, że i ojca jego, też kowala, zaprzepaścili niegdyś Tatarzy, dość, że siekł ich w prawo i w lewo, zapamiętale! Schwycił potem, nachyliwszy się z konia, za kark uciekającego Tatarzyna, i by go żywcem dostawić

do obozu, związał mu mocno ręce sznurem, co go miał u siodła, i przytroczył go do swego konia. Tak przyprowadził go przed namiestnika, przy którym już dwóch innych jeńców powiązanych stało. Kowal tymczasem wyraźną polską mową dziękował junakom, że tak w porę nadbiegli, uratowali go od śmierci i długiej niewoli.

Namiestnik dał kowalowi pod wierzch jednego z tatarskich koni, i jadąc dobrego kłusa pośpieszyli, ze zdobytym językiem do obozu hetmana, przed którym zdał sprawę namiestnik ze swej wycieczki, a między innymi i wymienił i Walka, że „gracko drwa rąbał". Hetman go pochwalił, darował mu jednego ze zdobytych koni, i zamianował go dziesiętnikiem, to jest że miał dziesięciu czeladzi konnych orężnych pod sobą. Kowal wezwany przez hetmana pod namiot, opowiedział mu sporo szczegółów przydatnych o rozstawieniu sił turecko-tatarskich w okolicy i o słabych punktach obozu, a resztę wyśpiewali jeńcy.

Jan Sobieski swoim zwyczajem przed rozpoczęciem boju i tu pod Chocimem przez dni kilka z mniejszemi oddziałami napadał, nużył i osłabiał nieprzyjaciela w częstych podjazdach. Wojsko, któremu przewodził, składało się między innemi z kilkunastu chorągwi niezwyciężonych, skrzydlatych husarzy, i kilkunastu chorągwi pancernych, to jest rycerzy odzianych w stalowe pancerze; było parę pułków piechoty krajowej i najemnej zagranicznej, wreszcie było kilkanaście chorągwi dragonów i wiernych Polsce kozaków. W ogóle nie było tam więcej nad dwadzieścia kilka tysięcy żołnierza, podczas gdy Turków i Tatarów na sto tysięcy się liczyło. Miał też hetman i artylerye.

Nareszcie w dzień świętego Marcina 11 listopada 1673 roku, przy dźwięku trąb i łomocie bębnów, którym zawtórował grzmot armat, uderzył Sobieski na nieprzyjaciela. Pod silnym natarciem naszych husarzy i pancernych, przerwały się szyki nieprzyjaciela. Padając pod ciosami Polaków, Turcy cofnęli się co tchu w obronne okopy swojego obozowiska. Sobieski rzucił tam swoją piechotę i dragonów, którym kazał zsiąść z koni i po zaciętym boju z janczarami tureckimi zdobył okopy. Natłukł nieprzyjaciół co niemiara, uchodzących potopił w Dniestrze, sporo jeńców, armaty i bogatą zdobycz zabrał. Zaczęto też zaraz o nim śpiewać:

„Hetman wojsko kołem toczy
Turczynowi pluje w oczy".

Po bitwie, gdy rotmistrze i pułkownicy zdawali sprawę o swoich wojakach przed hetmanem, nazwali Walentego Ciepiela „zaciętym", że zcinał pohańcom głowy niby główki kapusty. Hetman zamianował go setnikiem i żołd mu podwoił, a że był zraniony nieco w rękę, więc pozwolił mu ją opatrzyć i wypocząć pod namiotem, zanim wojsko zwycięskie z pola bitwy nie zejdzie. Tam oswobodzony kowal opowiadał wojakom o przygodach

swojej długiej niewoli, jak go Tatarzy ongi w jassyr zabrali, popędzili potem w swoje stepy, aż do Krymu, zkąd dopiero teraz znowu go na wojnę pod ścisłą strażą wywiedli.

Gdy potem wspomniał, że nie wie, czy żyje jeszcze w Łosicach jego żona, syn Waluś i córka Połosia, wtedy nasz setnik wsłuchany całą duszą, porwał się z miejsca, rzucił się kowalowi do rąk i kolan, i zaczął je całować, wołając ze łzami szczęścia:

— Żyją! żyją! mój drogi ojcze, i ja żyję wasz Waluś, bo ja nim jestem!

Stary o mało nie zemdlał z wielkiej rzewności i rozczulenia. Ucałował mężnie wyglądającego syna, którego Opatrzność dziwnem zrządzeniem po latach tylu między wybawcami ojca pomieściła.

Po wojnie, wsparty hojnie przez hetmana, odjechał wraz z ojcem na własnych koniach do miasta rodzinnego, gdzie uszczęśliwiona żona natychmiast męża poznała, a ślicznie wyglądająca Połosia całowała z rzewnością ręce tak długo niewidzianego ojca.

Lecz były to czasy, w których prawie ani na chwilę nie spoczywał oręż polski. Sobieski, jako hetman wielki, a potem jako obrany król polski, wojował sławnie wyrastających jak z pod ziemi Turków i Tatarów, którzy chcieli, choć napróżno, ujarzmić Polskę.

W kilku jeszcze wyprawach brał udział nasz setnik Ciepiel, i w każdej walecznością tak się odznaczył, że król mu na polu bitwy pode Lwowem nadał szlachectwo i uzbrojenie skrzydlatego husarza. Wydzielił mu też ze starostwa Łosickiego włókę gruntu, na której się, po ożenieniu z miejscową mieszczaneczką, skrzętnie zagospodarował.

Spełniły się przeto marzenia małego chłopca z pod Łosickiej kuźni, który chciał być żołnierzem z dużemi skrzydłami.

Nie mógł się też młody Ciepiel dość naopowiadać Łosiczanom o waleczności osobistej i przemądrych obrotach wojennych Króla Sobka, bo tak naród z miłosnej poufałości mianował Sobieskiego, a my też na cześć i pochwałę jego dodać możemy słowa:

Ach! to rycerz, król kochany,
Szedł do bitwy z takiem czołem,
Jak dziś idzie młodzik w tany,
Lub na spacer z swym aniołem.

Józef Grajnert.





ŻYWOT ZBAWICIELA ŚWIATA

Pana naszego Jezusa Chrystusa.

Ciąg 3.

W miłosierdziu swojem chce Jezus przyjść w pomoc uczniom jeszcze w inny sposób, — chce im rozświecić tę ciemnię w jakiej znalazł się ich umysł przez zapowiedź męki i śmierci, by zwolna przychodzili do równowagi umysłu i mimo wszystkiego co nastąpi nie ponieśli uszczerbku w wierze, której wyrazem tak gorącym a dobitnym były słowa Piotrowe: „Tyś jest Chrystus, Syn Boga żywego!“ Cuda, o których będzie mowa, to mają na celu.

„Przemienienie“ Jezusa na górze jest to — pomijając zmartwychwstanie — wypadek najdonioślejszy, najcudowniejszy, bo otwiera nam Niebo, a ze względu na utwierdzenie Apostołów w wierze ma znaczenie stanowcze. Jeden z świadków tego przemienienia Piotr ś-ty krótko przed śmiercią wspomina jeszcze o niem, powołuje się nań, że wonczas na górze widział na własne oczy chwałę i majestat Syna Bożego. (II List Piotra 1.16).

Po „sześciu dniach“ od zapowiedzi o męce i śmierci, ale i o zmartwychwstaniu, Jezus wstąpił z trzema uczniami — uprzywilejowanymi: Piotrem, Jakóbem i Janem na górę wysoką osobno. Która to była góra, ewangeliści nie mówią, lecz od najdawniejszych czasów utrzymuje się tradycya, że to góra Tabor. Na wierzchołek tej góry wstąpił Jezus *„aby się modlił“*. Bo w każdem trudniejszem położeniu udawał się na miejsca osobne,

na góry, bo teraz wiara Apostołów taka mdła i zamglona potrzebuje pomocy, modlitwy Mesyaszowej. — Mesyasz, Syn Boży będzie pojman, będzie wydan w ręce pogan, będzie oplwan, wyszydzon, wreszcie jako złoczyńca ukrzyżowan; ten chwilowy tryumf piekła musi przygnębiająco oddziaływać na uczniów. To niebezpieczeństwo widzi Jezus i dla tego idzie na modlitwę prosić Ojca o pomoc. Ta pomoc przyjdzie, — modlitwa zostanie wysłuchaną, czego dowodem jest „Przemienienie".

„Przemienił się przed nimi". „Kształt oblicza Jego stał się inakszy", „oblicze Jego rozjaśniało jako słońce, szaty Jego stały się jasne i bardzo białe jako śnieg". Jak rozumieć to przemienienie?

Nie przemieniła się postać osoby, jakoby był kim inszym, iżby Go uczniowie nie mogli rozeznać, lecz postać okazała się inakszą, — ta postać jaką znali podniesioną została w stan wyższy, nadprzyrodzony, przemieniony. Ten, który od wieków jako Syn Boży nosił postać Bożą, przyjął postać sługi przez Wcielenie: otóż ta „postać sługi" stała się teraz inakszą, Jezus ukazuje się już nie jako sługa, lecz jako Pan i na zewnątrz w blasku, w postaci Syna Bożego. Ta postać Boża ukazuje się dziś na chwilę, ale ona jest tą samą, którą Jezus będzie miał na wieki, gdy w chwale Ojca Swojego obejmie królowanie wiekuiste. Więc wysłuchana jest modlitwa Mesyaszowa: Ojciec uznaje ofiarę posłuszeństwa i każe złożyć tę szatę poniżenia, — sługi — a przywdziać na chwilę powłokę Boskości Swojej — przemienić się.

Nie dość na tem. „Oto dwaj mężowie ukazali się, rozmawiali z Nim, a byli Mojżesz i Eliasz widziani w majestacie i opowiadali Jego zejście, które wykonać miał w Jeruzalem".

Mojżesz, który jak wszyscy ludzie umarł i poszedł do ojców swoich, ukazuje się teraz nie jakoby zmartwychwstały, we własnem ciele, lecz w postaci ciała utworzonego mocą Bożą. Eliasz, który nie umarł, lecz żywcem razem z ciałem wzięty jest na miejsce osobne, mógł się ukazać we własnem ciele. Ci dwaj mężowie przynoszą Mu pokłon uwielbienia, uznają w Nim Pana i Mistrza swojego. Gdy ci mężowie rozmawiają „o zejściu Jego w Jeruzalem", to rozumiemy cel i znaczenie tego pokłonu. I Mojżesz i Eliasz wiedzą, że zadanie Mesyaszowe wielkie, wspaniałe czeka Nań w Jeruzalem, że czeka go tam „zejście", które przez mękę i śmierć, przez grób prowadzi do zmartwychwstania, do chwały Syna Bożego nie inaczej, jak to sam Jezus uczniom swoim zapowiedział. Co wtedy tak bardzo przeraziło uczniów — wszystkie ich nadzieje jakby w niwecz obróciło, to dziś znajduje uroczyste potwierdzenie ze strony Mojżesza i Eliasza. Obaczmy teraz, co się działo z Apostołami, dla których przedewszystkiem to wspaniałe widowisko przeznaczone. „Piotr i ci co byli z Nim, snem obciążeni byli. A ocuciwszy się ujrzeli majestat Jego i dwu mężów, którzy z Nim stali".

Apostołowie, strudzeni daleką i uciążliwą drogą i wstępowaniem na wierzchołek góry, zasypiają wśród nocnej ciszy. Po niejakim czasie budzą się i o, cudo! widzą Mistrza przemienionego, a obok Niego dwóch największych Proroków. I słyszą jak rozmawiają o „zejściu, które Mesyasz ma wziąć w Jeruzalem". Ten majestat przemienionego Jezusa, to oddawanie mu hołdu, to rozmawianie Mojżesza i Eliasza o „zejściu" rzucają odrazu potężne światło w głębię ich wątpliwości, ich niepokojów, — uczniom wyjaśnia się tajemnica męki i śmierci i zmartwychwstania Syna Bożego.

Mojżesz i Eliasz odchodzą. Piotr nie może się już dłużej powstrzymać, nie może dłużej milczeć. Nie posiadając się z wielkiej radości, chciałby odchodzących zatrzymać, więc mówi do Jezusa: „Panie, dobrze nam tu być: uczyńmy trzy przybytki, jeden Tobie a jeden Mojżeszowi i jeden Eliaszowi"!

„Nie wiedział co mówił, bo byli przestraszeni bojaźnią". Nie tą bojaźnią zwierzęcą, co chce na widok czegoś niezwykłego uciekać, lecz oną jakiej człowiek mimowoli doznaje wobec czegoś nadprzyrodzonego, wobec Bóstwa.

Słowa Piotra wyrażają najwyższe uszczęśliwienie, zachwyt rozkoszy na widok takiego świętego towarzystwa. Ach, onby tak rad gdyby to widzenie trwało długo, długo, bez końca, na zawsze, na wieki! Ale, że to być jeszcze nie może, więc co do tego „nie wiedział co mówił". Ale jakby odpowiedź na ten zachwyt swój usłyszał Piotr te słowa: „gdy on jeszcze mówił, oto obłok jasny okrył ich. A oto głos z obłoku mówiący: Ten jest Syn Mój miły, w którymem Sobie upodobał: Jego słuchajcie!"

Nie dziw, że „uczniowie upadli na twarz swoją i bali się bardzo". Jakże się nie bać, kiedy widzą obecność Bóstwa, majestat Boży, a oni tacy ułomni i swej ułomności świadomi. Uczucie strachu przeminie, ale na zawsze pozostanie w nich wrażenie tego co widzieli i co słyszeli. Wielki to zysk dla wiary, bo ona odtąd gotowa już oddać pokłon Mesyaszowi i takiemu, który będzie cierpiał i umrze.

Ten Mesyasz, który dawał świadectwo o Sobie, że jest „Synem Bożym" a który chce cierpieć i umrzeć z ręki własnego ludu, teraz wziął poświadczenie od własnego Ojca. Dla wiary nie jedno jeszcze może być ciemnem, ale ona teraz ma już swój stały grunt, ma swą kotwicę, więc i wśród najsroższej burzy ta wiara nie zatonie.

„Jezus przystąpił do nich, dotknął się ich i rzekł: Wstańcie a nie bójcie się. A podniósłszy oczy swe, nikogo nie widzieli, jedno samego Jezusa".

Trudno opisać co się działo w sercach uczniów po tylu wrażeniach i z jakiemi odtąd uczuciami czci i uwielbienia patrzeli na ukochanego Mistrza swego. Jezus zstępuje z góry. Z Nim zstępują i uczniowie pogrążeni w mil-

czeniu, w zamyśleniu. Jezus przerywa milczenie: „Nie powiadajcie“ — mówi, — nikomu widzenia, aż Syn człowieczy zmartwychwstanie“. Na takie powiedzenie „pytają się między sobą, coby było, kiedy zmartwychwstanie“. Nie pojmują jak pogodzić to „zmartwychwstanie“ z Mesyaszem, który tylko co objawił chwałę Swoją, którego majestat dopiero co widzieli na górze. Nie rozumieją tego wszystkiego i teraz jeszcze, ale choć to rzecz niepojęta, przyjmują ją z spokojem — już nie z owem przerażeniem pierwotnem. Z tą prawdą będą się starali pogodzić.

Dla czego jednakże nie mają opowiadać nikomu widzenia na górze? Chryzostom Święty odpowiada: Mają milczeć bo im większe rzeczy opowiadano o Synu człowieczym, tem trudniej dla wielu przychodziło wierzyć w nie, więc zgorszenie z krzyża stawałoby się coraz większe“. Czyby opowiadanie uczniów o widzeniu na górze było znalazło lub nie wiarę, w każdym razie śmierć Mesyasza na krzyżu dla ludzi słabej wiary byłaby zgorszeniem, dla niewierzących utwierdzeniem w niewiarze, u jednych i u drugich przeszkodą dla Łaski, odkąd Apostołowie zaczną opowiadać ewangelię.

(D. c. n.)



ŚWIATŁA WIARY I NAUKI.

Dobroczynna Królowa.

Anna, pierwsza małżonka Zygmunta III-go, króla szwedzkiego i polskiego, a matka Władysława IV-go, była córką arcyksięcia Karola Styryjskiego (syna cesarza Maxymiliana II-go) i Maryi, księżniczki bawarskiej, urodziła się w 1573 roku. W dziewiętnastym roku swego życia zaślubiła Zygmunta III-go, roku 1592. Lubo nie odznaczała się urodą, nawet kulała na jedną nogę, jednak tak król, jak i cały naród serdecznie ją pokochali, bo Anna odznaczała się najpiękniejszymi przymiotami serca: była dobrą żoną i matką, cichą, pracowitą, pobożną, prawdziwą opiekunką ubogich i nieszczęśliwych.

W czasie podróży Zygmunta III-go do Szwecyi, Anna towarzyszyła swemu mężowi, a gdy na morzu spotkała ich gwałtowna burza, podczas któ-

rej nawet najśmielszych przejęła największa trwoga, jedna tylko królowa zachowała spokojność i serdecznie modliła się do Boga.

Powszechnie też stwierdzono, że jedynie skutkiem tych modłów, król zdrowo i szczęśliwie przybył do Sztokholmu. Dwór jej był szkołą cnoty, a tak dalece posuwała swoją skrupulatność, że nie mogła nawet znieść myśli, żeby się zadłużyć komukolwiek i w tym celu raz nawet ofiarowała królowi swoje srebra, gdy nie miał pieniędzy na zapłatę swych dworzan.

Do dziś dnia w niejednym z kościołów Warszawy znajdują się dary królowej Anny, nieraz nawet jej własną ręką zrobione. Czynić dobrze, pocieszać nieszczęśliwych, bez różnicy wieku i stanu, a dopełniać tego z największą delikatnością, było zadaniem królowej Anny. Następujące zdarzenie może być dowodem gruntownej miłości bliźniego w tej monarchini.

Pewnej niedzieli królowa udała się na sumę do Świętego Krzyża, na Krakowskiem-Przedmieściu.

Świątynia ta nie była wtedy taką okazałą, jak jest dzisiaj, owszem byłto niewielki drewniany kościół, na którego miejscu w pierwszej połowie 17-go wieku wystawiono teraźniejszy, wspaniały przybytek Boży.

Otóż u Świętego Krzyża, z powodu parafialnego święta był wtedy odpust, a kazanie miał mieć nadworny kaznodzieja i ulubiony spowiednik królowej, słynny ze swojej wymowy Piotr Skarga.

Gdy po skończonem nabożeństwie, królowa siadła do karety, żeby wracać do zamku, stangret, znudzony długiem czekaniem, zaciął konie a te szybko poniosły powóz.

Wtem dał się słyszeć okropny krzyk, następnie jęk, powóz przejechał jakiegoś człowieka, skutkiem czego ten złamał nogę.

Królowa natychmiast wysiadła z powozu, kazała wezwać nadwornego swego lekarza i opatrzeć nieszczęśliwego. Byłto biedny wyrobnik, ojciec licznej rodziny, bo pięciorga drobnych dzieci i właśnie wracał do domu, do wsi Jazdowa pod Warszawą, w której dziś mieści się szpital Ujazdowski i ogród Botaniczny. Lekarz chciał przenieść chorego do poblizkiego szpitala, ale ten błagał, aby go odniesiono do domu, do jego rodziny. Królowa chciała, żeby go umieszczono w jej karecie, i sama chciała udać się z nim do jego mieszkania, by go pielęgnować w chorobie, zaledwie damy i dworzanie królowej zdołali ją nakłonić do powrotu do zamku, a lekarz upewnił, że najgorliwiej zajmie się chorym, oraz że temu ostatniemu nie grozi żadne niebezpieczeństwo.

Wróciwszy do zamku, królowa była bardzo smutna, podczas obiadu prawie nic nie jadła, po południu wezwała swego lekarza i najtroskliwiej wypytywała o stan chorego. Lekarz upewniał królowę, że za kilka tygodni będzie zdrów zupełnie. Bardzo ją to zmartwiło, że przez kilka tygodni, oprócz cierpienia, będzie wystawiony wraz ze swoją rodziną na do-

tkliwą nędzę, nie mogąc nic zapracować. Postanowiła zatem dopomódz mu, pocieszyć i uspokoić. Przed wieczorem wezwała do siebie przełożoną jednego z klasztorów, przy którym znajdował się szpital. Gdy ta przybyła, królowa zaczęła z nią rozmawiać o przygodzie z wyrobnikiem, następnie prosiła zakonnicę, żeby się dowiedziała, gdzie on mieszka i udała się nazajutrz do niego doglądać go w chorobie, przekonać się o jego potrzebach, oraz zapewnić, że w czasie jego choroby tak jemu, jak jego rodzinie, na niczem zbywać nie będzie. W końcu królowa zapytała przełożoną:

— Zapewne, wielebna matko, gdy wychodzicie z klasztoru, towarzyszy wam zwykle jedna z sióstr klasztornych?

— Tak jest, najjaśniejsza pani!

— Czy niema w waszym klasztorze zakonnicy mego wzrostu i figury?

— Jest jedna, zupełnie podobna.

— Otóż, wielebna matko, raczcie jutro rano przed 9-tą przyjść do mnie do zamku i przynieść z sobą habit owej zakonnicy.

— Czy czasem Wasza Królewska Mość nie myśli przebrać się w niego i udać się ze mną do tego chorego?

— Tak, wielebna matko, muszę to uczynić, sumienie nie da mi spokojności. Ten biedny ojciec licznej rodziny, dotknęty ciężkiem i długiem cierpieniem; on i jego rodzina są w niepokoju o swe wyżywienie, tylko u łoża jego boleści mogę mu wynagrodzić wyrządzoną krzywdę.

— Lecz po co Wasza Królewska Mość ma się aż sama fatygować do tego biednego człowieka, to może kto inny wykonać.

— Nie, wielebna matko, ja powinnam sama udać się do niego! W obliczu Boga nie ma różnicy stanów. Proszę cię zatem, nie wspominaj nikomu o naszej rozmowie i przychodź jutro o 9-ej z rana.

Nazajutrz o umówionej godzinie królowa Anna, przebrana w habit zakonny, wraz z przełożoną, udała się pieszo Krakowskiem-Przedmieściem ku Jazdowu. W ręku niosły zawiniątka, w których znajdowały się różne rzeczy, przeznaczone dla chorego i jego rodziny. Droga ich nie była bardzo przyjemną, albowiem Krakowskie-Przedmieście i Nowy Świat, obecnie najpiękniejsze ulice Warszawy, pełne okazałych gmachów, wtedy bardzo nędznie były zabudowane małemi drewnianemi dworkami, nie posiadały owych wygodnych chodników, nawet wcale nie były brukowane, a że w nocy padał deszcze ulewny, zatem pełno było kałuż i błota. Około rogu teraźniejszej Ordynackiej ulicy i Nowego Świata, dogonił ich jakiś powóz szybko jadący i o mało co nie przejechał zakonnicy i jej towarzyszki, przyczem obryzgał je od stóp do głowy błotem. Oburzona tem zakonnica już chciała zgromić nieuwagę jadących, gdy jej towarzyszka, pociągnąwszy ją za rękaw, szepnęła do ucha:

— Na miłość Boską, daj pokój, wielebna matko, to jedna z naszych dam dworskich, mogłaby nas poznać.

— O, Boże!—zawołała przełożona,—Królowa idzie piechotą z pomocą do jednego z najuboższych swoich poddanych, gdy tymczasem jej dama dworska rozpiera się w powozie i dla niedorzecznej igraszki, obryzguje ją błotem!

— Ależ ona nie wiedziała kto jestem, przytem uważam to jako karę za moją wczorajszą nieostrożną jazdę.

Wkrótce stanęły przed mieszkaniem chorego. Była to biedna chata, na wpół zapadła w ziemię. W niewielkiej izbie, na tapczanie pokrytym słomą, leżał wyrobnik, obok niego siedziała jego żona, dzieci i kilku sąsiadów. Wszyscy ubolewali nad nieszczęściem wyrobnika i wyrzekali na panów, którzy dla płochej fantazyi lekceważą życie i zdrowie biednych ludzi, w pocie czoła krwawo pracujących na swoje i swej rodziny utrzymanie. Nagle rozmowa została przerwana wejściem do izby dwóch zakonnic, wszyscy spojrzeli na nie z zadziwieniem, lecz starsza z nich, postąpiwszy naprzód, rzekła:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków!—odpowiedzieli obecni.

— Jak się macie, bracie? — zapytała starsza zakonnica, zbliżając się do łoża chorego. Dowiedziawszy się o waszem nieszczęściu, przyszłam z moją towarzyszką odwiedzić was, a jeśli pozwolicie, to i doglądać w chorobie, gdyż to jest jednym z naszych obowiązków.

— Królowa, — rzekła młodsza zakonnica, dotychczas nieśmiało stojąca u drzwi i starająca się opanować przejmujące ją wzruszenie,—niezmiernie jest zmartwiona waszem nieszczęściem, którego niechcący, stała się powodem. Przysłała nas, żeby się przekonać, co wam i waszej rodzinie jest potrzebnem, upewnić was, że starać się będzie, żeby wam wszystkim przez cały czas choroby na niczem nie zbywało, żebyście się z tego powodu bynajmniej nie frasowali, tylko słuchali doktora, który ma codziennie dwa razy was odwiedzać; czy już był dzisiaj?

— Nie jeszcze, — odpowiedziała gospodyni, — ma przybyć przed południem.

— Trzeba nam się spieszyć, żeby nas tutaj nie zastał!—szepnęła młodsza zakonnica do ucha swej towarzyszki.

— Bogu niech będą dzięki i chwała! — zawołał chory—kamień spadł mi z serca, gdy jestem spokojniejszy o los mojej żony i dzieci! Niech Bóg błogosławi naszej dobrej królowej, prawdę o niej mówią ludzie, że to bardzo dobra i miłosierna pani! — Mocny rumieniec wystąpił na twarz młodszej zakonnicy, spuściła oczy w ziemię i zadrżała, ale tłumiąc wzruszenie, rzekła:

— Musimy was na teraz opuścić, ale moja towarzyszka wkrótce powróci i będzie was doglądać, a tymczasem, weźcie to, matko!--dodała, zwracając się do gospodyni i podała jej różne przedmioty, znajdujące się w zawiniątkach.

Wtem dały się słyszeć przyspieszone kroki, otworzyły się drzwi izby i wszedł stangret dworski, ów sprawca wszystkiego złego. Z płaczem przystąpił ku choremu i wyciągając ku niemu błagalnie dłonie, zawołał:

— Bartłomieju! wybaczcie mi, że wam tyle złego narobiłem. Sumienie nie daje mi ani chwili spokoju, przybiegłem was przeprosić. Bóg świadkiem, żem to uczynił niechcący, przez pośpiech i nieuwagę. Ale cóż to? czy mnie oczy mylą?—zawołał, wpatrując się w młodszą zakonnicę. Nie... tak... to ona! to nasza królowa i najmiłościwsza pani!—dodał, padając na kolana przed zakonnicą.

Wszyscy poszli za jego przykładem. Nastąpiła rozrzewniająca scena, nawet chory chciał się podnieść ze swego posłania, lecz królowa Anna szybko postąpiła ku niemu, wstrzymała go i poleciła, by leżał spokojnie, a zwracając się do chorego, rzekła łagodnie:

— I cóż was tak zadziwia? to tylko obowiązek chrześcijański. Chociaż jestem królową, ale Bóg każe mi widzieć nawet w najbiedniejszym człowieku mego brata i mieć współczucie nad jego niedolą. Potrzebujecie lepszego posłania, ubrania, sprzętów, pożywienia, jutro najdalej będziecie to mieli, do tego kupię dla was pobliski ładny dworek z ogrodem, gruntem i wszelkiemi potrzebami, żeby wam choć w części wynagrodzić wyrządzoną krzywdę. A teraz bądźcie zdrowi, niech Bóg was zachowa w swej świętej opiece.

I wśród serdecznych podziękowań i błogosławieństw, królowa powróciła z zakonnicą do zamku. Zawdzięczając pomocy królowej, pielęgnowaniu zakonnicy, troskliwości lekarza i pomocy Boskiej, chory za dwa miesiące był zdrów zupełnie i przeniósł się do swej nowej własności. Cała jego rodzina błogosławiła królowę i codziennie modliła się za nią do Boga, lecz w następnym roku, to jest 1-go Lutego 1598 roku, po sześciu latach szczęśliwego małżeńskiego pożycia, w 25 roku swego życia królowa Anna, z nieopisanem żalem króla i narodu, przeniosła się do wieczności, a Piotr Skarga wymownie skreślił jej cnotliwe życie, w swej mowie pogrzebowej.



Bolesław Biernacki.

KOŚCIUSZKO.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA.

TOM DRUGI.

(Ciąg 3).

Podpułkownik Grochowski miał tylko trzy niepełne szwadrony, złożone z dwustu ludzi. Wprawdzie wzmocniły go posterunki kawaleryi narodowej z Mohylowa, Jarugi i Jampola, siły te jednak, wraz w kupie wzięte, stanowiły źdźbło wobec potęgi nieprzyjacielskiej. Nie tracił jednak ducha wódz drobnego oddziału. Sam nie znał spoczynku, nie pozwalał i podkomendnym oficerom próżnować. Rozumiał dobrze cel i zadanie swoje; chciał jaknajwięcej wiadomości pewnych przywieźć generałowi Kościuszce. Rozesłał więc szpiegów pewnych w głąb armii rosyjskiej, a nadto uprosił komisarza w jampolskich dobrach Zbigniewskiego, ażeby ten zlustrował obóz Kachowskiego.

— Jesteś waćpan—mówił pułkownik,—osobiście znany Kachowskiemu — ma on o waszmości mniemanie, że jesteś stronnikiem Targowicy i Szczęsnego Potockiego.

— Tak jest, mości pułkowniku!

— Musimy tedy z tego szczęśliwego zdarzenia wyciągnąć korzyści.

— A mianowicie?

— Pociągniesz osobiście do Mohylowa. Przejrzysz ich obóz. Wymacasz, co zamierza czynić nieprzyjaciel w najbliższej przyszłości. Następnie pociągniesz za języki przy miodzie i winie Targowiczan, jacy znajdują się w obozie.

Zacny Zbigniewski drapał się w głowę.

— Co? hę? — nalegał Grochowski. — Ojczyzna wymaga od nas wielkich ofiar — ciągnął dalej. — A tu ofiary skąpo idą. Bracia szlachta ani konia, ani żołnierza żywić nie chce, lubo im przecież płacą gotówką za obrok, mięso, siano, chleb.

Tak zachęcony Zbigniewski poszedł tegoż dnia na noc. Po dwóch dniach wrócił. Obóz zlustrował, gdyż Kachowski przyjął go z otwartemi rękami. Spotkał na zamku Antoniego Złotnickiego i Seweryna Kaczowskiego. Targowiczanie ci obfite rady dawali generałowi Kachowskiemu.

Obóz moskali obliczał tylko na 12,000 ludzi, a słyszał, że Kutuzow ma iść do Baru, kozacy z Orłowem do Bracławia, ciężka artylerya do Niemirowa, sam zaś wódz do Tulczyna.

Grochowski ucałował Zbigniewskiego i natychmiast pchnął go do generała Kościuszki.

Generał Kachowski, lubo hojnie złotem szafował, złych miał szpiegów, nie umiał wymiarkować, gdzie znajdują się główne siły polskie. Arendarz z Serbów, Aron Śliwka, rudy, sprężysty żydek, potrafił wcisnąć się w łaski naczelnego wodza wojsk rosyjskich. Aron wiedział wszystko przez licznych braci, szwagrów, teścia o ruchu wojsk polskich, lecz prawdę taił przed Kachowskim. Sympatye jego obracały się tam, zkąd złoto płynęło. Lecz na dnie duszy Arona żarzyła się niedostrzegalna iskierka wdzięczności, jaką czuł dla generała Kościuszki za to, że ojca Arona wyrwał z rąk rozbestwionych szeregowych i kazał im do czysta za wszystką wypitą wódkę i piwo zapłacić gotówką.

Ten tedy Aron Śliwka leżał u nóg Kachowskiego i fałszywe szeptał słowa.

Kachowski, tak zmylony, sądził, że w Czerniejowcach stał Kościuszko w 6,000 koni, w Świtkowie zaś Dzierżek we 4,000 koni. Wahał się tedy uderzyć na tak przemożne siły polskie.

Po naradzie sztab główny polecił brygadyerowi Orłowowi wysłać rekonesans pod dowództwem doświadczonego oficera. Do podjazdu tego włączono kilku Targowiczan, ażeby ci, jako znający język, miejscowość, zwyczaje, dopomogli tem snadniej do złowienia języka.

Podjazd ruszył świtaniem w sile 500 koni. Wódz jego Michał Aleksiejenko, człek doświadczony w boju, szalonej odwagi, a krom tego bystry, przebiegły, łączył w sobie dwie natury: wilka i lisa.

Aleksiejenko miał przekonać się, czy rzeczywiście generał Kościuszko stoi w Czerniejowcach? Ile ma wojska? Oprócz jazdy czy ma dużo piechoty, czy ma przy sobie artyleryę? W razie koniecznej potrzeby dostał pozwolenie stoczenia bitwy, a to w tym celu, ażeby o ile możności jaknajwięcej zagarnąć niewolnika.

Aleksiejenko poważnie przystąpił do sprawy. Odrysował sobie plan miejscowości, przez które miał przechodzić. Potem uroczyście przyjął dowództwo nad podjazdem. Obejrzał troskliwie wszystko, przekonał się naocznie, że broń wszyscy mają doskonałą, konie dobrze podkute, że spiży w sakwach wojsko ma dosyć. Poczem rozkazał podjazdowi przeciągnąć wedle siebie parami. Przy tym przeglądzie spostrzegł bystrem okiem parę kulawych koni, niektóre zbyt głośno rżały, inne leniwy chód miały. Wycofał z szeregów niezdatne konie, gdyż utrzymywał, że koń kozaka wygrywa bitwę, człowiek mu tylko pomaga.

Wyszli dońcy raźnie z wesołą pieśnią, poprzedzeni przednią strażą w sile trzydziestu koni, w odległości stu piędziesięciu kroków. W ogonie oddziału ciągnęło zwolna 20 koni. Wjechali na płaszczyznę równą, pokrytą gęstą trawą. Aleksiejenko skomenderował galop, ażeby jaknajprędzej przejechać otwartą płaszczyznę. W tem przednie straże zmieszały się i stanęły. Dostrzegł to bystry Aleksiejenko, zatrzymał oddział, a sam puścił się cwałem, ażeby zbadać przyczynę zatrzymania się czoła kolumny. Poznał własne patrole lotne, więc ruszył spokojnie dalej. Dotarli do wzgórza, za którem drogi rozchodziły się w trzy różne strony. Aleksiejenko spuścił się w dolinę, lecz niebawem zakręcił do lasu. Między drzewami właśnie kryła się jakaś ciemna, wysoka postać. Przetarła się już szczęśliwie przez przednią straż, lecz spostrzegły ją sokole oczy Aleksiejenki. Oficer spiął konia i w paru susach zastąpił drogę ciemnej postaci.

— Stój! — krzyknął okrutnym głosem. — Zeskoczył z konia i ucapił za kołnierz ciemną postać, przybraną w szary żupan, cynamonowego koloru kontusz i szerokie czarne portki. Szlachcic nie miał broni. Widząc, że jest osaczony, stanął. Przeżegnał się i szepnął:

— Panno święta, weź mnie pod swoją obronę!

Okazało się wnet, że oficer nie rozumie szlachcica, ten zaś oficera. Wywołano z szeregów stronnika Konfederacyi Targowickiej, który ofiarował się być tłumaczem.

— Czołem waćpanu! — podniósł pewniejszy głos, pokrzepiony modlitwą szlachcic.

— Czołem! — odparł Targowiczanin. — A cóżeś waćpan za jeden?

— Oj, żem jeden, to jeden... a was kupa. Jakże zdrowie służy na usługach wojsk alianckich?

— Nie marnuj waść czasu, jedno odpowiadaj na pytania zwięźle — przerwał surowo Targowiczanin. Nie w austeryi na przypiwku żeśmy się spotkali, jedno w lesie czasu wojny. Jakże waści zwą, bo komendant jegomość pan niecierpliwi się i w drogę mu śpieszno.

— Wiadomo, że każdy za swoim interesem ciągnie, byle prędzej zdążyć.

— Chyba waści żywot zmierził się. Tedy kiwnę palcem, a pojedziesz na gałąź, jeżeli odpowiadać nie będziesz zwięźle, krótko, a wedle naszej myśli.

— Kiedy już macie się tak użyć — słuchajże waść bacznie i konotuj dobrze. Nazywam się Adam Brzoza, herbu Rogal bez kopyta.

— Nie znam takowego herbu.

— Bo go tu nikt nie zna, a na Podlasiu ich pełno, jako karasków. Waćpan może i tego nie wiesz, że każdy Podlasiak karasków ma wbród,

piasków ile dusza zapragnie, choć się top; oprócz tego niewiastę swarliwą, a mocną w pięście, a krzykliwą.

— Toście wszyscy rogale i niewiasty was za łby wiodą.

— Właśnie.

— A co za licho waści tu przyprowadziło? jegomość komendant się dopytuje.

— Ciągnę do jw. chorążego czerwonogrodzkiego.

— Po co?

— Ażeby się za Konfederacyą Targowicką opowiedzieć. Wam ciężko i nam ciężko po ogłoszeniu onej ustawy rządowej, przeto także szukamy ludzi dobrej woli, a zacnego serca, ażeby się do nich przygarnąć — dodał szlachcic i siwemi oczami świdrował z ukosa tłumacza, który wszystko wiernie przekładał oficerowi.

— Tedy przejrzałeś na wskroś stanowiska wojsk, które trzymają z królem. Pan komendant pytają, gdzie stoi Kościuszko, a gdzie książę Józef?

Szlachcic począł kiwać głową i zwlekał z odpowiedzią.

— Gadajże waść — przynaglał tłumacz.

— Bokiem się przeciskałem, jarami, uroczyskami, miejscowości nie znam, nie widziałem ani Kościuszki, ani księcia Józefa. A kto to jest ów Kościuszko? bom o takowym hetmanie nie słyszał? — zawrócił nagle pytaniem szlachcic.

— Ho, ho! W piątkę waćpan gonisz. Z oczu widać, że widłami waści w głowie nie układano, a tymczasem układasz się na głupiego Franka.

— A co za zacz ów Franek głupi, i o takim hetmanie nie słyszałem. Widno macie tu różnych — dodał.

— Zaraz się dowiesz — odparł tłumacz.

— Bóg zapłać. Zaczekam.

Tłumacz obrócił się do oficera kozackiego i wręcz radził wziąć szlachcica na arkan, gdyż ten wydaje mu się mocno podejrzanym.

Szlachcic bożył się i sumitował, że nic nie wie, kupy wojsk tylko widział, lecz jako niewojskowy nie umiał się połapać, co to za wojska i jaka ich siła. Domniemaniami zaś głupiemi nie ośmieliłby się nigdy wprowadzać w błąd, na manowce bohaterskich wojaków najjaśniejszej imperatorowej. Nie przekonały jednak te racye oficera. Szlachcica wzięto między dwa konie i pognano przed oddziałem.

Dalej Michał Aleksiejenko w pochodzie swoim spotkał podejrzanego ślepego dida, którego prowadził wyrostek tęgo zbudowany. Did podawał wiadomości sprzeczne, to jąkał się. Zrewidowano go przeto ściśle i znaleziono w torbie pod podszewką zaszyty list do jednego z mieszczan w Mohylo-

wie. Sprawiono też wnet nieszczęsnego dida wraz z wyrostkiem — oboje zawiśli na jednej gałęzi.

Oj, chciało się dońcom pohulać w sieliszczu za Serbami. Aż serce się rwało, ażeby ognie na chałupy rzucić, dobytek rabować, w karczmie gorzałki przednio wypić. Lecz Aleksiejenko zakazał srodze wszelkich zbytków, przeto oddział spokojnie, cicho przeszedł wieś, tyle, że języka potrzebnego zachwycił. Jeden tylko kozak przełamał zakaz. Na widok maciory, wiodącej za sobą kilkoro tłuściuchnych jak pączki prosiaków, wypuścił raz i drugi pikę. Towarzysze pomogli mu ukryć zdobycz.

Nie widział tego Aleksiejenko, gdyż zadumany jechał. Zastanowiły go wieści, jakie zebrał po drodze. Sztab rozumiał, że generał Kościuszko obwarował się w Czerniejowcach, tymczasem języki co innego mówiły. W Czerniejowcach jest tylko mały oddział, wycieńczony uciążliwą służbą wywiadowczą. Śmiały pomysł, jak błyskawica, oświetlił nagle dziką twarz Aleksiejenki. Ukryć się gdzieś w zasadzce, wpaść nocą do Czerniejowic, wyciąć załogę, resztę na arkany wziąć i wrócić szczęśliwie do głównego obozu.

— Ot, co! przednią myśl ułowiłem — myślał uradowany Aleksiejenko. — Sława Bohu!

Napił się gorzałki i wiernym dońcom pozwolił przechylić manierki. Wypili. Otarli wąsa. A teraz cisza, bo w łeb dostanie, od którego szmer głośniejszy pójdzie. Niech ani szabla nie zadźwięczy, ani strzelba nie zadzwoni!

Cisza!

Dnia tego na najdalszą placówkę wysuniętą była Zośka. Stanęła na czatach na wyniosłym pagórku, gęsto zarośniętym kwiatem bzowym. Ażeby lepiej widzieć, wdrapała się na rozłożysty jesion i usadowiła się na najwyższej gałęzi. Godziny biegły bez zmiany. Naokoło pustka i cisza. Nagle na południu zaczerniało coś, jakby ktoś drobnym makiem przesypał jasną piaszczystą drogę.

— Co to jest? — szepnęła. Wychyliła się, wytężyła słuchy, natężyła wzrok wdal.

Zośka sokole miała oczy.

— Czuj! — dała lekko hasło.

Wnet odpowiedział jej towarzysz, który stał pod drzewem, umówionym znakiem:

— Bóg i Najświętsza Panna z nami!

— Czuj! — powtórzyła Zośka.

Wszystkie dalsze pikiety na dany znak przez Zośkę powtórzyły jedna po drugiej:

— Czuj!

Tajemnicze, denerwujące hasło przeszło z ust do ust szerokim kręgiem; taką obręczą właśnie idą do brzegu lekkie tafle uśpionego jeziora, kiedy na środek jego kamień padnie.

— Baczność! — powtarzano od pikiet do patroli, od patroli do posterunków, aż wreszcie przytłumiony głos trąbki podniósł ludzi na kwaterach w Czerniejowcach.

Tymczasem do miejsca, zkąd wyszło hasło, nadbiegł stary kapral. Jak wiewiórka wdrapał się stary na drzewo.

— Patrzcie — szepnęła Zośka — na prawo, kędy trzy mogiły świecą... O! podnosi się teraz kurzawa nad brzegiem rzeki... Widzicie!... jakby dymy lekkie spuszczają się w jar...

— Jak mi Bóg miły, jadą! — odparł kapral.

— Widzicie! Można już rozpoznać ruchy pojedyńczych jezdnych.

— Cichoj!

— To kozacy!

— Dońcy! — powtórzył jak echo kapral, lubo sam nakazywał milczenie.

Zośce pod mundurem zaczęło trzepotać serce.

Kapral stanął na gałęzi, ażeby lepiej widzieć ruchy dońców, gdy w tem doleciała go wrzawa, wnet potem czułe uszy starego konfederata ułowiły wyraźnie znane wykrzykniki:

— Bij! Zabij!

— Ur... ra!

— Natknęli się na swadron Tokarzewskiego, jak mi Bóg miły! Już się wzięli z naszymi za bary!

Z okrzykiem tym spuścił się stary kapral na dół.

— A ze mną co będzie! — krzyknęła za nim Zośka.

— Ani waż się ruszyć z pikiety! Nie frasuj się, zluzują cię! Pójdziesz w ogień! — dodał na pocieszenie, i zniknął w gęstwinie nad krętym wądołem.

Rzeczywiście przednie straże dońców nagle, nieoczekiwanie natknęły się na szwadron kawaleryi narodowej, złożony tylko ze 120 koni. Ponieważ jednak szwadron posuwał się czwórkami, gdyż przechodził nieszeroki rów, wydawał się liczniejszy. W kozaków jakby piorunem raziło. Nie spodziewali się spotkania. Na chwilę stanęli jak wryci, wnet jednak oprzytomnieli, zmierzyli, wypalili, najeżyli śpisy i cwałem z kopyta pomknęli, jak kule, na szwadron. Chorąży Tokarzewski również wybałuszył zrazu zadziwione oczy, gdy spostrzegł spisy dońców. Twarz mu przybladła, potem ją rumieniec oblał aż po uszy, ale głowy nie stracił. Widział jasno, że najpierw powinien wyprowadzić swój szwadron z niebezpiecznego rowu.

— Baczność bracia! Czwórkami naprzód marsz! Galopem. Wyjmuj szable z pochwy! Bij w imię Boga! — rzucał rozkazy coraz pewniejszym, donioślejszym głosem.

Bystry Aleksiejenko posłał awangardzie niewielką pomoc, wszystkie zaś siły swoje począł wycofywać śpiesznie na wielki szeroki gościniec. Dobrze zrobił, bo od Czerniejowiec sadził już w cwał Kozłowski i Szwarkowski, z zamiarem zamknięcia dońców w jarze, jako niedźwiedzia w klatce. Na równinie rozwinął się w cztery szeregi i stanął w pozycji wyczekującej. Aleksiejenko nie mógł szarżą uderzyć, gdyż obawiał się, żeby mu Tokarzewski nie rozerwał prawego boku, po rozbiciu awangardy.

Zatrzymał swój szwadron i Kozłowski na przestrzeni pięciuset kroków. Pocztowi podciągnęli popręgi. Wytchnęli. Kozłowski wziął komendę. Wyjechał na czoło. Zagrała trąbka:

— Szykuj się do ataku!

Jeźdzcy przytulili się do szyi końskich.

— Marsz kłusem!

Konie ruszyły z miejsca równo łeb przy łbie, jak na paradzie.

Uradował się Kozłowski na ten widok, gdyż był pewien, że w atakach jazdy na jazdę ta strona wychodzi zwycięzko z zapasów, która mocniej, niezłomniej wierzy w swoją moc i niespożytość.

— Naprzód galopem!

Na przestrzeni 150 kroków od linii dońców stanął w strzemionach odwrócił głowę i głosem potężnym jak huk grzmotu krzyknął:

— Naprzód cwałem! Szable z pochwy! Bij! Zabij! Kto w Boga wierzy!

— Bij! Zabij! — odpowiedziały potężne gardziele.

— Za mną, bracia!

Dońcy zaciąli usta, mocniej ścisnęli spisy, stali murem zwartym człek przy człeku, koń przy koniu.

A ku nim zbliżała się owiana dymem jazda polska z łoskotem, hukiem, grzmotem. Szable, wyniesione w górę, do cięcia, brały blaski od promieni słonecznych, przeświecały jaskrawo jak błyskawice. Pod kopytami rozcwałowanych rumaków ziemia drżała, jęczała. Pod stropy nieba leciały i uderzały okrzyki:

— Bij! Zabij!

— Nic to! pocieszał dońców Aleksiejenko. Twardo stać! Odskoczy od waszych ostrych spis ta pozornie straszna chmura i pęknie jako bańka na wodzie po dżdżu! W górę czoła, wierne dzieci! Twardo spisy trzymać!

Nie wytrzymał jednak ataku pierwszy szereg dońców. Rozerwał się w mgnieniu oka. Dopiero druga linia wtrzymała impet szwadronów Kozłowskiego. Zwinęli się nasi. Zachwiali. Niebezpieczną chwilę wnet

wyzyskał na swoją korzyść Aleksiejenko. Spoił rozerwany szereg i krzyżowym natarciem uderzył zapamiętale.

Szwadron Kozłowskiego za długą i za forsowną przebiegł przestrzeń, zmęczył konie, utrudził ludzi i wskutek tego Aleksiejenko z łatwością odrzucił go na bok, siejąc popłoch i zamieszanie w szeregach. Lubo Tokarzewski, po uporaniu się w rowie z awangardą, natarł na prawe skrzydło, ponieważ jednak Aleksiejenko przewidywał ten atak i odpowiednio umocnił zagrożony bok, więc Kozłowskiemu groziła zagłada. Zagrożonym nadążył z pomocą porucznik Obertyński, zajął dońców z lewej strony, lecz nie mógł wstrzymać sił tak przemożnych. Kozacy uderzyli pikami, zawiązał się bój pojedyńczy.

Lubo podpułkownik Grochowski miał jeszcze rezerwę, złożoną ze stu ludzi, licząc w to i kompanję strzelców, wahał się ją puścić w ogień, gdyż to były ostatnie siły jego. Stał ponury na wysokiej baszcie, zagryzał do krwi wargi, marszczył brwi i ze ściśniętem sercem patrzył na bój nierówny. W tem myśl jaśniejsza wygładziła bruzdy na czole. Zbiegł z baszty. Kazał zatrąbić do odwrotu, sam skoczył na konia i stanął w pozycyi bojowej na czele garści ludzi. Strzelców z kapralem Wichrem umieścił za nasypem, sam z jazdą przyczaił się za murem.

Dońcy wyrzucili radośne okrzyki zwycięstwa i pomknęli za uciekającymi. Odwrót prowadził chorąży Kozłowski, zamykał zaś go porucznik Obertyński. Zrazu wszystkie cztery szwadrony jazdy naszej rejterowały kłusem, kiedy jednak dobiegły do mostu, nagle rozległa się komenda:

— Marsz galopem!

Dońcy wzięli również galop, tak że przy wylocie mostu nastąpiło gwałtowne starcie między porucznikiem Obertyńskim a pierwszemi szeregami kozaków, którzy już przegalopowali most. Paru dońców spadło z koni, inni się zachwiali.

Wówczas podpułkownik Grochowski, jakby wyczekiwał tej chwili, wyprowadził oddział swój z zasadzki. Strzelcy dali ognia, a Grochowski spadł jak burza z okrzykiem:

— Bij! Zabij!

Zmieniły się role. Teraz kozakom wziętym z boków i frontu, groziła zagłada. Aleksiejenko wściekły, że mu się wymyka zdobycie i zwycięztwo, po raz trzeci, niebaczny na straty, rzucił się w wir bitwy. Po tym wysiłku cofnął się za most, jazda nasza z Grochowskim na czele pomknęła za nim. Rozpoczęła się gonitwa. Dońcy rejterowali rozważnie, raz wraz się odstrzeliwali lub wiązali spisy z szablami polskiemi. Rozciągnął się plac boju na parę wiorst wzdłuż. W odstępach krwawiły się ciała poległych dońców, obok zaś nich leżeli uśpieni na wieki towarzysze kawaleryi narodowej.

Wrzące nienawiścią namiętności jednych i drugich ukoiła śmierć, potężniejsza w swoim majestacie od wszelkich wichrów, gromów i piorunów życia. Krwawy ślad bitwy wydłużał się coraz dalej krętą linią. Przeszedł przez Serby, biegł aż pod Mohylów.

Michał Aleksiejenko za Serbami począł umyślnie poddawać się cugom polskim. Pragnął koniecznie uprowadzić je za sobą choć że trzy, dwie wiorsty jeszcze. Tam w lesie, co się czerni jak chmura gradowa, czyha utajonych 2 bataliony jegrów i 12 armat... Nie wszystko jeszcze stracone — myślał Aleksiejenko. — Da Bóg, sromotna ucieczka krzyż zasługi i sławę mu przyniosą.

Niestety i te rachuby zawiodły! Podpułkownik Grochowski nie wpadł w matnię leśną. Nagle otrąbił:

— Stać!

A po paru chwilach dalej poszła komenda!

— Wszystkie cugi na lewo! Odwrót! Marsz kłusem!

Zośka nie brała udziału w pościgu, ale widziała bitwę, a nawet więcej, bo choć krótko miała w niej czynny udział.

— Myślałam — zwierzała się uradowana staremu kapralowi Wichrowi, — że bitwa Bóg wie co! A tu nic. Ani strachu nie miałam, jedno tylko pragnienie, biedz na oślep, wkręcić się w sam środek walki i tłuc po łbach.

— Zażyjesz po uszy tego dobrego.

— Opowiadali przecież, że to takie straszne.

— Ba! dla tchórzy wiadomo, że straszne. A i to wiedz, żeś szczęśliwie trafiła. O całej przyszłości żołnierza decyduje pierwsza bitwa, w której staje. Nadaje mu jakowejś mocy, siły, odwagi do późnej starości, jeżeli wygrana.

— E!

— Tak ci jest! Przegrana zaś jakby lodem, czy co, oziębia serce, w szaraka człeka przeinacza. Wszystkiego się taki boi zawsze, ciągle się ogląda i już zawczasu, przed spotkaniem, rozmyśla, którędy łacniej będzie mu uciekać. Niech Bóg broni, taką chorobą niewiedzony żołnierz, gorsze to od zarazy!

— Co ich tak długo nie widać — zaczęła z innej strony Zośka.

— Właśnie powinni zawrócić, na mój głupi rozum — djabeł nie śpi— dodał chmurny Wicher.

(D. c. n.)



Zimowanie wśród lodów.

Nadzwyczajne przygody w podróży do bieguna ziemi.

CZĘŚĆ DRUGA.

(Ciąg 8).

Przez śniegi i lody.

Mała gromadka podróżnych zmierzała w kierunku północnym, Simpson prowadził zaprząg, za nim postępował Hatteras, następnie doktór. Bell zamykał pochód.

Wierny Tell, poszczekując, biegł naprzód, nie zwracając uwagi na swoich psich towarzyszy. Znać było, że ciągnienie sanek nie imponowało mu wcale. Śnieg padał wciąż, zaścielając drogę coraz grubszą warstwą, co utrudniało pochód.

Musiano zwolnić kroku.

Podróżni, otuleni w ciepłe, grenlandzkiego kraju, futrzane ubranie, nie czuli chłodu, gdyż i mróz trochę zelżał.

Olbrzymie futrzane kaptury zakrywały całkowicie głowy, za wyjątkiem ust, nosa i oczu. Te muszą w okolicach podbiegunowych pozostać niezakryte, albowiem para, którą wydzielamy oddychając, momentalnie zamarza i zamienia szale i okrycia w lodowate pancerze. Oddech musi mieć tedy drogę wolną.

Okolica przedstawiała się w postaci nieskończonej równiny, męczącej wzrok jednostajnością.

Podróżni posuwali się wolno.

Na śniegu spotykano co chwila świeże ślady niedźwiedzi i lisów, lecz polowanie w chwili obecnej byłoby trudne i niepożyteczne.

Zazwyczaj myśliwi północni po ubiciu zakopują zwierzynę w ziemi, gdzie może się przez dłuższy czas zachować, zaś wracając z wyprawy, zabierają te zapasy. Ale jest to sposób dobry na lądzie stałym, nasi podróżni bowiem kroczyli po lodowej równinie, która z nadejściem ciepła mogła się zupełnie zmienić.

W południe wędrowcy się zatrzymali i schroniwszy się za ścianą lodowca, spożyli obiad.

Składał się z sucharów i gorącej herbaty. Po godzinnym odpoczynku ruszono dalej.

Dnia tego przebyli 20 mil. Zwierzęta i ludzie byli wyczerpani. Należało jednak jeszcze powstrzymać się z wypoczynkiem, musiano bowiem pierwej zbudować ze śniegu lepiankę na nocleg, gdyż namiot był za szczupły i mało chronił przed mrozem. Wzięto się więc do pracy. Bell ociosywał toporem płyty lodowe, a towarzysze układali je odpowiednio jedną w drugą, spajając całość śniegiem. Bell musiał z bloków lodowych urządzić sklepienie, całość wygładzono, wypróbowano, czy się nie zawali, ale robota poszła dobrze. Mróz był tu tęgim pomocnikiem, spajając w oka mgnieniu śnieg z lodem.

Przez wązki otwór, który zastępował drzwi, wsunęli się nasi podróżni do wnętrza, by urządzić jeszcze posłania, ugotować kolacyę i nakarmić psy. Clawbonny przy pomocy kapitana rozpakował żywność, nalał maszynkę do gotowania spirytusem i zapalił.

Temperatura wewnątrz tego lodowego domu była znośna. Wiatr i śnieg nie dokuczał, a widok gotującej się herbaty napełnił otuchą serca znużonych podróżnych.

— Do stołu! — zawołał wesoło uczony.

Na to hasło skupili się wszyscy koło niego, a on, wesoły jak zwykle, rozlewając herbatę, śmiał się, dowcipkował, dodając wszystkim otuchy.

Wieczerza bardzo mało różniła się od obiadu, składała się bowiem z tych samych potraw. Natychmiast, gdy tylko nasycono głód, każdy rzucił się na posłanie i w ciągu paru minut cisza zaległa wnętrze lepianki. Tylko z zewnątrz dobiegał jeszcze przez chwilę szmer i skowyt. To psy zakopywały się w śniegu, by się tym sposobem zabezpieczyć od zimna.

Tell spał z panami w izbie...

Na drugi dzień, o szóstej rano, znowu ruszono w drogę i zaczął się jednostajny marsz, niczem od poprzedniego nie różny.

Od czasu do czasu spotykano wzgórki, pokryte śniegiem, przypominające chaty eskimosów; wtedy Clawbonny biegł z łopatą, kopał, ale oprócz lodu, który się krył pod śniegiem, nic nie znajdował.

— Co panu z tego przyjdzie? — zagadywał kopiącego Hatteras. Czy pan myślisz, że byli tu już przed nami ludzie?

— Może być! — odparł uczony; — kto to może wiedzieć...

— Nie traćmy lepiej czasu napróżno — odrzekł kapitan. Musimy się spieszyć, aby jak najprędzej powrócić na statek. Przyznam się panu, że jestem o niego bardzo niespokojny...

— Co do tego, jestem dobrej myśli, kapitanie! — rzekł dobrodusznie Clawbonny.

— Jednakże... — zaczął Hatteras z wahaniem w głosie,—jednakże ja nie powinienem był statku opuszczać. Miejsce kapitana, tam, na pokładzie!..

— Jest tam przecież Johnson!... — rzekł uczony.

— No, tak, tak... ale spieszmy się lepiej, spieszmy się...

Posuwano się naprzód.

Simpson głośno zachęcał psy do biegu, płozy sanek posuwały się szybko, śnieg skrzypiał. W tem doktór znikł z oczu towarzyszom. Spojrzeli wszyscy po sobie.

— Doktorze, panie Clawbonny! — zawołali wszyscy jednogłośnie, trwogą przejęci.

— Tutaj, tutaj!... pomóżcie! — odezwał się głos uczonego.

— Gdzie się pan ukrywasz? — zawołał kapitan.

— Tu, w dziurze! — rozlega się odpowiedź.

Istotnie, w miejscu, skąd głos dochodził, śnieg się poruszał. Była to szczelina, z której po chwili uczonego wydobyto. Był cały i zdrowy.

— Jakeś pan mógł się tak wkopać? — zagadnął, śmiejąc się, kapitan.

— Przeklęte światło! — zawołał oburzony doktór.—Tu, przy tem łamaniu się promieni świetlnych, człowiek na swoich zmysłach polegać nie może. Zdawało mi się, że mam półłokciową szczelinkę przed sobą i chciałem ją przeskoczyć, tymczasem... Uważajcie, na miłość Boską, bo możemy wszyscy pozapadać się...

Długo stary uczony nie mógł się uspokoić.

Rozkładając ręce, rozprawiał o swojej przygodzie, tłómaczył zasady łamaniu się promieni świetlnych, tymczasem ruszono w dalszą drogę. Dnia tego przebyto 25 mil.

Noc spędzono, jak poprzednio, w lepiance ze śniegu, którą znów musiano na poczekaniu zbudować.

Następne dni przeszły bez żadnych szczególnych wrażeń! Posuwano się wolniej lub szybciej, zależnie od stanu pogody. W taki sposób przeszedł czas do 15 stycznia. Był to dzień świąteczny, niedziela, którą poświęcono na modlitwę, wypoczynek i naprawę lekkich uszkodzeń odzieży.

W dniu tym oznajmił kapitan towarzyszom, iż przebyto już 100 mil drogi. Wiadomość ta ucieszyła wszystkich.

Następnego dnia spadła ni stąd, ni z owąd mgła, a właściwie wzniosła się z ziemi na 90 stóp w górę. Szczególne to było zjawisko. Ubrania podróżnych pokryły się momentalnie cienkiemi lodowemi igłami. Mgła była tak gęsta, że nie widziano się wzajemnie. Co gorsza, nawoływania również nie odnosiły skutku, gdyż w tej mgle głosy, jakby zamierały. Szukano się tedy z rozpostartemi rękami, jednak bezskutecznie. Wreszcie każdy z rezygnacyą oddał się losowi.

Hatteras stanął, założył wedle zwyczaju ręce na piersi i czekał. Simpson usiłował odnaleźć sanie. Bell próbował rękami namacać ślady stóp na śniegu, a doktór biegał na prawo i lewo, przecinał drogę w rozmaitych kierunkach, przez co błąkał się bardziej, niż inni. Po upływie pięciu mi-

nut, gdy usiłowania nie doprowadziły go do niczego, stanął, mówiąc sam do siebie:

— Tego już za wiele!... Lubię rzeczy nieznane, ale ten kraj już za bardzo obfituje w niespodzianki. Licho wie, co robić... Kapitanie! hola, hej! towarzysze!.. — krzyczał zniecierpliwiony uczony.

Jednak okrzyki te przebrzmiały bez rezultatów. Nie nawiele zdały się dwa strzały z dubeltówki, nikt nie odpowiadał.

Akurat właśnie Clawbonny nabijał powtórnie strzelbę, przyczem zmrożona lufa pomimo rękawic parzyła mu dłonie, jak ogień, gdy w odległości paru kroków dostrzegł jakąś ciemną, poruszającą się masę.

— No, wreszcie! — zawołał uczony. Przecież ktoś!... Hola! Hatteras, Bell, Simpson, odzywajcież się!...

Tym razem słowa doktora nie pozostały bez odpowiedzi. We mgle rozległo się całkiem wyraźnie głuche mruczenie.

— A to co? — pomyślał, wstrzymując oddech.

Masa poruszała się... Teraz już nie miał wątpliwości, z kim się spotkał. Niewyraźne kształty i pomruk nie mogły łudzić.

— Niedźwiedź!

Istotnie, był to niedźwiedź. Węsząc po ziemi, poruszał się na wszystkie strony i wolno zbliżał ku uczonemu.

— To gorzej! — pomyślał ten ostatni i obejrzał się, szukając ratunku. Tymczasem, nie spuszczając potwora z oczu, z palcem na cynglu cofał się tyłem. Ku nowemu zdziwieniu poczuł, że grunt się podnosi i że oparł się o jakąś ścianę.

— Lodowiec... — pomyślał.

Wdrapać się nań i przygotować do obrony było dziełem jednej chwili. Mgła była tu już rzadsza.

— Hatteras! Clawbonny! Bell! Simpson!

Wszystkie te cztery okrzyki rozległy się niemal jednocześnie, choć podróżnicy nie widzieli się wcale.

— Gdzie sanki? — pytał kapitan.

— 24 stopy pod nami! — odrzekł Simpson.

— Czy całe?

— Całe.

— A niedźwiedź?

— Jaki niedźwiedź.

— No, ten, co mi o mało głowy nie rozbił, zachodził mi drogę... — opowiadał Clawbonny.

— Niedźwiedź? — krzyknął kapitan — w takim razie wszyscy na dół.

— Lepiej nie, kapitanie! — radził doktór — pogubimy się znowu...

W tej chwili z dołu dobiegło głośne szczekanie Tella. Szczekanie przedzierało się przez mgłę i najwyraźniej dobiegało do uszu podróżnych.

— Tell! — krzyknął kapitan, szykując się, by zejść we mgłę na dół.

— Poczekać, kapitanie! — radził doktór — zdaje mi się, że mgła się rozchodzi.

I tak było w istocie, tylko mgła nie rozchodziła się, a opadała, jak woda w stawie, kiedy otworzą upusty.

Wkrótce ujrzano górną część sanek, niedługo potem mgła całkowicie opadła i oczom podróżników przedstawił się osobliwy widok. Obok sanek oprócz psów i ujadającego Tella kręciło się około 30 innych zwierząt, które bez ceremonii rewidowały zawartość worków, rozwłócząc je po śniegu.

— Lisy! — zawołał Bell.

— Niedźwiedzie! — krzyknął doktór. — Jeden, dwa, trzy!... liczył.

— Nasze psy!... nasza żywność! — krzyczał, wymachując rękoma Simpson.

Pomimo ujadania psów, napastnicy w dalszym ciągu pustoszyli zapasy.

— Ognia! — krzyknął z wściekłością Hatteras, mierząc w gromadę. Towarzysze odpowiedzieli mu również strzałami.

Przerażone hukiem niedźwiedzie, zerwały się z miejsca, umykając, jak szalone. Za nimi popędziły i lisy. Wkrótce całe stado szkodników zniknęło w oddali.

Niespodziewane odkrycie.

Mgła trwała ogółem ze trzy kwadranse i przez ten czas napastnicy zrobili swoje. Poszarpane worki z pemikanem, potłuczone skrzynki z sucharami, rozsypaną herbatę, zbierali skrzętnie co do źdźebła nasi podróżni, z trwogą w sercu obliczając straty.

— Fatalny wypadek! — krzyknął zrozpaczony doktór.

— Nic na to nie poradzimy! — odrzekł zimno kapitan, choć i on nie mógł ukryć wzburzenia.

— Trzeba pozbierać, co zostało! — wtrącił Simpson.

Zgromadzono rozrzucone zapasy, pakowano i ponownie układano na sankach, ale straty okazały się nadspodziewanie duże. Bestya zniszczyła parę balonów spirytusu, bez którego nie da się ugotować ani kawa, ani herbata, brakowało około 200 funtów pemikanu i 150 funtów sucharów. To, co pozostało, było stanowczo nie wystarczające na dalszą drogę. Musianoby chyba ograniczyć się do połowy zwykłej porcyi.

Z drugiej strony zaś powracać na statek bez węgla, po który jakoby udała się wyprawa, było rzeczą nie mniej ryzykowną, bo załoga niewątpliwie podniosłaby bunt, który ze swej strony mógłby być nieobliczonym w następstwach.

Właściwie tedy nie pozostawało nic innego, jak wędrować dalej. Za wyjątkiem Simpsona wszyscy byli tego zdania. Więc maszerowano dalej. Znów upłynęły trzy dni w monotonnym marszu. Wypadków nie było, ale wędrowcy coraz bardziej, zwłaszcza pod wieczór upadali na siłach.

18-go stycznia ukazały się na horyzoncie góry. Nie były to w całym słowa tego znaczeniu góry, były to właściwie lodowce w większej zgromadzone liczbie, za tymi jednak po całodniowej wędrówce natrafiono na ląd stały. Miejscowość była falista, usiana wzgórzami, co utrudniało bardzo pochód.

Na dobitkę Simpson zapadł na zdrowiu, co wprowadziło towarzyszy w wielki niepokój.

Doktór skonstantował silny katar płucny, reumatyzm, oraz pierwsze oznaki szkorbutu.

Nie było innej rady, tylko urządzić choremu na saniach posłanie. Ładunek sań opróżnionych przez napad lisów nie był zbyt wielki, to też dwustofuntowy ciężar osoby Simpsona psy mogły z łatwością uciągnąć.

Około 20 stycznia znów nieznośne mrozy. Serce krajało się z bólu patrzącym na cierpienia biednego Simpsona, który na wpół zmarznięty leżał bez ruchu na saniach.

Termometr wskazywał 44 stopnie i rtęć w rurce zamarzła. Gdy tylko trochę mróz zelżał, spadł taki śnieg, że podróżni niemal do połowy zanurzeni byli w sypkiej, marznącej masie. Męczyło ich to tak nieznośnie, że mimo 44 stopni mrozu, pot lał się z nich strumieniami.

Bell, który kroczył obok doktora, nagle pobladł, chwycił pełną garść śniegu, potem chwycił starego uczonego za twarz i zaczął gwałtownie trzeć śniegiem.

— Na miłość Boską, Bell, co robisz?—krzyknął przestraszony uczony.

Ale Bell, nie wdając się wcale w dalsze rozprawy, bez ceremonii dalej prowadził operacyę.

— Bell, oszalałeś, czy co? — jęczy biedny doktór, próbując strząsnąć z twarzy śnieg, którym mu Bell zasmarował nos, oczy i usta.

— No, już! — mówi wreszcie operator — masz pan szczęście, jeszcze chwila, a pożegnałbyś się pan z nosem...

— Jakto z nosem? — pyta uczony, słabo jeszcze pojmując, o co rzecz chodzi.

— No, z nosem, doktorze! — ciągnie dalej poczciwy Bell, — jeszcze tylko chwila, a byłby na ziemi. Już cały zbielał...

Doktór teraz dopiero zrozumiał, o co rzecz chodzi i co znaczyło gwałtowne postępowanie towarzysza.

— Dziękuję ci, Bell! — wołał uradowany — winienem ci tę piękną część mojej twarzy. Odwdzięczę ci się przy najbliższej sposobności.

— Biedny Simpson! — wzdycha Bell, spoglądając na zakryte sanie.— Czy jest jaka nadzieja polepszenia?

Doktór jakiś czas milczy, poczem odpowiada:

— Najbardziej obawiam się szkorbutu. Nogi już mu puchną, a i dziąsła porządnie nabrzmiały. Przytem na tych sankach można zmarznąć, będąc zdrowym, a cóż dopiero tak zapadłszy na zdrowiu...

Hatteras podchodzi bliżej i słucha również. Znać, że słowa doktora sprawiają mu przykrość.

— Biedny Simpson! — szepce...

— Możebyśmy mogli zatrzymać się na parę dni?—proponuje doktór.

— Zatrzymać się?... Tam ośmnaście osób czeka na nasz powrót, żywność obliczona na każdy dzień...

Ani doktór, ani Bell nie odpowiadają i sanki w dalszym ciągu posuwają się naprzód.

Wieczorem zatrzymano się u stóp lodowej góry, w której Bell wyrąbał coś w rodzaju małej groty. Cierpienia Simpsona musiały powiększyć się, bo narzekał głośno. Doktór dodawał mu, jak mógł otuchy, starając się w jakibądź sposób choremu ulżyć.

— Ja już więcej nie wrócę!... Czuję to!... Już długo nie wytrzymam; żeby tylko śmierć chciała przyjść prędko!... — szepce spuchniętemi wargami chory.

Doktór, nie odpowiadając na te rozpaczliwe słowa, usiłuje rozgrzać chorego gorącej filiżanką herbaty. Sam wprawdzie ma duże obawy, ale naturalnie nie wyraża ich głośno, aby towarzyszom, a głównie choremu, nie odbierać odwagi.

Nazajutrz, z powodu nowiu księżyca, było prawie ciemno. Chory zasnął dopiero nad ranem, mimo to jednak musiano wyruszyć w dalszą drogę. Koło południa doktór zauważył w pewnej odległości kopiec, przysypany śniegiem. Miał on jednak tak osobliwy wygląd, że robił raczej wrażenie czegoś zbudowanego ręką ludzką, a nie natury.

Stary uczony, uzbrojony w łopatę, udał się, by rzecz na miejscu zbadać.

Jakież było zdumienie kapitana i Bella, gdy zobaczyli gwałtowne ruchy przyzywające, których doktór w chwilach podniecenia nie szczędził.

— Cóż takiego? — spytał Hatteras, gdy się przybliżono.

— Kopmy, kopmy! — zachęcał uczony, sam odgarniając śnieg z kopca, który istotnie wyglądał na zasypaną śniegiem lepiankę.

— Zdaje mi się — zauważył Hatteras — że i teraz spotka cię zawód, doktorze...

Clawbonny nic nie odpowiedział, tylko wciąż pracował łopatą, aż wreszcie natrafił na otwór.

— Patrzcie, patrzcie! — zawołał uradowany.

— Hm! — mruknął Hatteras — wygląda to, jakby to coś było...

Mnie też się zdaje... — zauważył Bell.

Wszyscy chwycili za rydle i po chwili wybito ścianę.

Była to istotnie lepianka, ale pusta. Musiał tu ktoś mieszkać, choć nie było nawet śladu sprzętów. Doktór uważnie przeglądał każdy kąt izby, na nic jednak nie natrafił. Nagle Bell krzyknął, spostrzegając między grudkami śniegu kawałek białego papieru. Doktór i kapitan schylili się natychmiast, lecz papier był tak mokry, że musiano zachować wszelkie środki ostrożności, by się nie rozleciał w ręku.

Papier był zapisany atramentem, jednak wilgoć tak zamazały pismo, że zaledwie parę słów było widoczne. Hatteras czytał:

— Altam... „Sztandar“, 13 grud. 18... 12 stop. 8 stop. szer...

— „Sztandar“! — zawołał doktór.

— A to co takiego? — dodał Hatteras.

— Prawdopodobnie jakiś okręt... — odrzekł doktór.

— Nie znałem żadnego takiego!...

— Musi być nowy, a i ci, co zostawili ten papier, zatrzymywali się tu niedawno, bo papier nie zachowałby się dłużej nad dwa miesiące.

— Nie ulega wątpliwości, że mamy tu towarzyszy w tych okolicach... zauważył doktór.

— Prawdopodobnie!... odrzekł Hatteras — ale czegoby oni tu chcieli?... czyżby?...

Podróżnicy spojrzeli sobie w oczy. Na twarzy kapitana odmalowało się zdumienie.

— Co robić? — spytał doktór.

— Prędzej naprzód! — zakomenderował Hatteras. — Ja nie wiem, kto tu był i czego chciał!... Wiem tylko, że tam „Naprzód“ oczekuje naszego powrotu!...

Nieszczęsny Simpson.

Ruszono dalej.

Myśl, że nie są samotni w tej krainie śmierci napełniła serce Hatterasa obawą.

— Porpoise! — myślał — co to za okręt i co tu robi? Dlaczego zabłąkał się aż tak daleko na północ, prawie pod sam biegun?...

Myśl, że może mieć rywali w wyprawie napełniła go obawą.

Doktora i Bella nie mniej zaintrygowała ta przygoda, myśleli jednak o czem innem. I oni nie wątpili, że Hatteras przypadkowo natknął się na współzawodników, tylko, że poczciwego doktora zajęła głównie myśl, czy to nie są biedacy, potrzebujący ratunku, Bell zaś przeciwnie, liczył, czy załoga „Naprzodu" nie skorzystała na tem spotkaniu. Ale droga stawała się tak uciążliwą, okolica była tak porżnięta szczelinami i usiana wzgórzami, że nasi podróżnicy musieli na razie myśleć tylko o polepszeniu swego położenia.

Tymczasem stan chorego Simpsona pogarszał się stale. Dni jego były już policzone.

Doktór zaniemógł również. Spadła nań ciężka choroba oczna, która mogła sprowadzić ślepotę, o ileby chory nie miał się na baczności.

Przyczyną choroby w tym wypadku była oślepiająca jasność śniegu, przeciw której nie było ratunku. Ciemne okulary przy tak nizkiej temperaturze pokrywały się momentalnie szronem, który robił szkła nieprzezroczystemi.

Sanie co chwila wpadały w szczeliny, pokryte śniegiem, musiano je wyciągać, popychać, podważać...

Zmniejszenie porcyi pożywienia wywierało na organizmach skutek fatalny. Podróżni coraz bardziej opadali z sił, psy wychudły i leniwie ciągnęły sanki, które ze swej strony również gwałtownie domagały się reperacyi.

25-go stycznia zaskoczyła wędrowców w czasie drogi gwałtowna burza. Śnieg, miotany wichrem, ciął po twarzach, co przy blizko 40-stopniowym mrozie było katuszą nie do zniesienia.

Z ogromnym trudem zdołał Bell przy pomocy Hatterasa wybudować lepiankę, któraby jako tako zabezpieczyć mogła od niedającego się opisać zimna.

Gotując herbatę, zauważono, że pozostały już tylko cztery baloniki spirytusu. Wiadomość ta bardzo wszystkich zatrwożyła. Wyczerpanie się zapasu paliwa mogło skazać wszystkich na śmierć z pragnienia. W okolicach podbiegunowych śnieg jest tak zimny, że wzięty do ust parzy usta i język, jak ogień. Eskimosi, nie mając ognia, wolą znosić najsilniejsze pragnienie, niż gasić je śniegiem. Podróżni nasi radzili sobie zawsze dotychczas maszynką spirytusową do gotowania. Gdy spirytusu zabraknie, co począć wtedy?...

Zwykle w czasie noclegów ktoś czuwał. Zmieniano się co parę godzin. Obawiając się ponownego napadu dzikich zwierząt, woleli nasi podróżni poświęcić parę godzin spoczynku. Ostrożność ta pewnego razu ocaliła wszystkich od niechybnej śmierci.

Doktór czuwając wstał, aby wyjrzeć na dwór i uderzył głową o sufit. Zastanowiło to starego uczonego, gdyż zwykle budowano lepianki tak wysokie, że głową do sufitu nie można było dostać. Ku wielkiemu przerażeniu stary uczony zauważył, że sufit ciągle się obniża.

— Towarzysze! — zawołał — wstawać, wstawajcie prędzej!..

Wszyscy wystraszeni zerwali się na równe nogi, jednocześnie uderzając głową o sufit.

— Uciekajmy, prędzej uciekajmy! — zawołał stary uczony.

Wszyscy nachylili się nad chorym Simpsonem, by go wynieść z chaty i czas też był najwyższy po temu, bo w minutę potem lepianka zawaliła się.

Nie pozostawało naszym podróżnym nic innego, jak przepędzić resztę nocy na wolnem powietrzu, gdyż wiatr nie pozwalał na rozstawienie namiotu. Zasłonili tylko jak mogli chorego Simpsona i cierpiąc niewysłowione męczarnie wskutek chłodu, oczekiwali dnia.

Następnego dnia znaleziono na śniegu porzucony karabinek. Załoga „Porpois‘u“ musiała być gdzieś w pobliżu. Hatteras dostrzegł, iż broń wyszła z amerykańskiej fabryki.

Zdarzenie to podwoiło jego wytrwałość i wciąż zachęcał towarzyszy do pośpiechu. Doktora dręczyły znów poważne myśli, że jeżeli załoga „Porpois‘u“ znajduje się w nieszczęściu, to nasza wyprawa nie wiele będzie mogła jej pomódz.

27-go pod wieczór Simpson dogorywał. Ciało mu zesztywniało, nogi i ręce zimne jak lód leżały bezwładnie. Oddech słabł z każdą chwilą, co poznać można było po obłoczku pary, unoszącym się w tych stronach nad głową każdego żywego stworzenia.

Simpson konał. Straszna rozpacz i zwątpienie wyzierały mu z twarzy, w oczach malowało się przerażenie i świadomość zbliżającej się śmierci. Nadeszła noc. Najsmutniejsza i najstraszniejsza noc, jaką podróżni nasi wogóle dotąd przeżywali.

Hatteras nie zbliżał się do konającego. Był on mu, jakby wyrzutem sumienia. Życie to brał na swoją odpowiedzialność, a teraz składał je, jako pierwszą ofiarę ludzką na ołtarzu nauki. Mimo to bał się. Ten człowiek o żelaznych nerwach i niezłomnej woli, tu przy saniach, na których dogorywał towarzysz, uczuł jednak łzy w oczach, których w ciemnościach nikt zauważyć nie mógł.

— Odwagi bracie, odwagi! — szeptał umierającemu doktór, usiłując rozgrzać jeszcze kostniejące ciało. Ale wysiłki były daremne.

Bell odmawiał po cichu modlitwę za konających. Nim skończył, Simpson już nie żył.

Ostatnie jego słowa były:

— Żegnajcie, towarzysze! Taka wola Boska! Pozdrówcie odemnie morze i Anglię!

Clawbonny nie mógł się powstrzymać, tylko łkał cicho. Tell wył ponuro, jakby odczuwając obecność śmierci, a Bell, którego z Simpsonem łączyło 20 lat wspólnej służby i serdeczna przyjaźń, trzymając w dłoni kostniejącą rękę zmarłego — płakał.

Jeden tylko Hatteras zadumany ponuro, ze skrzyżowanemi na piersiach rękami, stał cicho w odległości kilku kroków od sanek. Ze wzrokiem utkwionym na północ, milczący, nieruchomy wyglądał, jak widmo...

Śnieg przestał padać. Chmury rozeszły się i wkrótce na niebie pojawiać się zaczęły gwiazdy. Doktór i Bell zmęczeni i zziębnięci, otuliwszy się w kołdry, posnęli, Hatteras podszedł do sanek, ukląkł i oparł głowę o zwłoki zmarłego...

Wśród niczem niezamąconej ciszy nocy podbiegunowej rozległy się szeptem wymawiane słowa Modlitwy Pańskiej...

To kapitan „Naprzodu" żegnał swego towarzysza...

(D. c. n.).



Marcin Kopiec.

Z HISTORYI ŚLĄSKA.

Walka z luteranizmem.

Albrecht Hohenzoller, ostatni 37-my wielki mistrz krzyżacki i dziedziczny książę Prus Wschodnich, szerzy w swoich ziemiach luteranizm.— Upadek biskupstwa sambijskiego i pomezańskiego. — Schwenkfeldyanie i Böhmiści.—Jezuici.—Jan Dobenek, kanonik wrocławski.

Chociaż początki reformacyi rozpoczęły się w roku 1517, to jednakże stanowczego kroku dokonał Luter dopiero w roku 1524, to jest wówczas, gdy zrzucił habit zakonny i zaczął nosić czarną suknię kaznodziei. Dla duchowieństwa ewangelickiego zaś, dokonał stanowczego kroku dnia 13 czerwca 1525 r., gdy się ożenił z Katarzyną Bora, dawniejszą zakonnicą klasztoru Cystersek w Nimptsch, pod Grimmą, której też Luter powrócił przez celibat utracone szlachectwo.

Prąd luteranizmu nie powiał na Śląsk od strony zachodniej, gdzie elektorowie, landgrafowie, margrabiowie, książęta, hrabiowie i miasta objęły protektoryat nad luteranizmem, budując kościoły, uniwersytety i szkoły z dóbr zabranych pokościelnych. Powiał on raczej od wschodu, czyli z Prus Wschodnich, a prowincya ta należała do kawalerów teutońskich, czyli krzyżaków.

Albrecht Hohenzoller, margrabia brandenburgski, wielki mistrz zakonu, posiadał ten kraj, jako lenność od Polski, przemienił go w księstwo udzielne, za zezwoleniem stanów polskich dnia 8 kwietnia 1525 r. i otrzymał w Krakowie od króla Zygmunta Starego nazwę: dziedzicznego księcia Prus Wschodnich.

Słusznie Wołowski przytacza w Historyi Powszechnej Beckera t. V, 51, że Polska nie domyślała się wtedy, iż na własnych piersiach wychodowała żmiję, która ją potem głównie do upadku doprowadziła, a dziś z nikczemnością dorobkiewicza prześladuje tych, którym swe życie i dorobek winna. Wówczas bowiem Albrecht nosił się z myślą przez zmianę religji pozbyć się wasalstwa i uniknąć składania hołdów królom polskim.

Albrecht Fryderyk, ostatni, 37-my, wielki mistrz krzyżacki, zmarł 20 marca 1568 r., był synem Zofji, siostry Zygmunta I Starego, córki Kazimierza Jagiellończyka, a wnuczki Władysława Jagiełły, wielkiego pogromcy krzyżaków, pod Tanenbergiem, czyli Grunwaldem.

Ten prawnuk wielkiego króla stał się nietylko żarliwym sprzymierzeńcem nauki Lutra, ale stał się zapalonym przewodnikiem w walce przeciw Kościołowi katolickiemu. Jedzie więc wielki mistrz zakonu do Niemiec, do Lutra, aby się z nim zapoznać, naradzić i bliżej zbadać jego reformacyę. Powróciwszy, przechodzi na luteranizm, zaślubia jako hołdownik polski i jako dziedziczny książę Prus Wschodnich, Dorotę, księżniczkę duńską.

I odtąd to datuje się działalność księcia Albrechta w szerzeniu luteranizmu, któregoby raczej drugim Lutrem nazwać należało. Za Albrechtem przechodzi na luteranizm zakon krzyżacki, wojsko, obywatele i cały naród. Ustają biskupstwa, należące do krzyżaków: sambijskie i pomezańskie. Jan Polens, 8-my i ostatni biskup sambijski już w roku 1525 przyjmuje luteranizm[1]). Jakób Speratus, 22-gi biskup pomezański (1520—1548) przystępuje do Jednoty Braci Czeskich, a 23-ci i ostatni biskup pomezański Kacper Geschau (1549—1564) i ten, jak widzimy z okresu lat — przedłuża, a w końcu przechodzi na luteranizm[2]). I zaprzestało istnieć biskupstwo

[1]) Tytuł sambijskich biskupów przeszedł w dziedzictwie do biskupów warmińskich. (Juljan Bartoszewicz).

[2]) Lodzia Czarniecki, heraldyka.

pomezańskie, ustanowione na Pomorzu z polecenia papieża Inocentego IV, w roku 1243, ze stolicą pierwotną w Prabucie (Riesenburgu), a później w Kwidzynie (Marienwerder).

Gdy z reformy Kościoła, która się z nauki Lutra rozwinęła, nastały pożogi i mordy, jak w Turyngii, Szwabii, Frankonii, Alzacyi i t. d., gdzie burzono zamki i klasztory, dopuszczając się największych okrucieństw na szlachcie i duchowieństwie — dziedziczny książę Prus Wschodnich, Albrecht, rozpoczął szerzyć luteranizm w ziemi swojej, na swój sposób. Tam zamków, ani klasztorów nie burzono. Nie krzywdzono też szlachty, ani duchowieństwa — on, książę Albrecht, otworzył skarby swoje dla społeczeństwa. W Królewcu, swojej siedzibie, wybudował uniwersytet dla młodzieży polsko-luterańskiej, powierzywszy rektorat Sabinusowi, zięciowi Filipa Melanchtona, a Melanchton, jak wiadomo, był przyjacielem, współkolegą, a nawet w niektórych razach i doradcą Marcina Lutra. Sprowadził 10 profesorów polskiej i litewskiej narodowości. Byli to po części Franciszkanie i Dominikanie krakowscy, którzy przeszli na luteranizm, jak Rapagelanus, Kulvius, Staphilus i wielu innych. (Sierzputowski).

Książę Albrecht, jak już wyżej wspominaliśmy, założył uniwersytet w Królewcu, wyłącznie dla młodzieży polsko-litewskiej, li tylko z przyczyn religijno-politycznych. Studentów niemców, oprócz kilku miejscowych, do uniwersytetu nie przyjmowano. Wykłady na wszystkich fakultetach odbywały się w polskim języku, (Arnold). A gdyby było w sporze religijnym, jaki wyniknął pomiędzy Albrechtem a królem Zygmuntem Augustem porozumienie nastąpiło, to wykłady polskie na uniwersytecie królewieckim byłyby się i nadal utrzymały, tak, jak w uniwersytecie krakowskim.

Rozpoczął się ruch naukowy. Drukowano książki i broszury różnej treści i rozdawano je na wszystkie strony bezpłatnie. Biblioteka Jagiellońska wykazuje nam 81 dzieł i broszur drukowanych w latach 1535 — 1567, a mianowicie: 44 dzieł polskich, 26 łacińskich, 6 niemieckich, 3 litewskich i 2 staropruskich[1]).

Tenże ruch naukowy rozbudził niemal całe państwo polskie. Żądna nauki młodzież, tak polska, jako też i litewska, uważająca światło duchowe w granicach swojej ziemi już za przestarzałe, ze wszystkich stron napływała przez miasto Helk (Lyck) [2]) do tego nowozałożonego przybytku

---

1) Bibliografja Estreichera, Kraków.

2) Ks. Albrecht założył w Hełku biuro przyjęć i pośrednictwa, osadziwszy w nim swojego publicystę i doradcę Jana Małeckiego (Malecius), który się ze swego zadania dobrze wywiązał, za co w nagrodę otrzymał nominacyę na dziekana gminy luterskiej miasta Kwidzynia w r. 1536. Renegat Małecki zmienił nazwisko swoje na Hans von Sandetz.

wiedzy, z którego szerzono to nowe światło ewangeliczne dla zbawienia ludzkości.

Książę Albrecht sam przyjmował, sam też w przyjęciu studentów decydował, gdyż naukę udzielano bezpłatnie wszystkim, tak synom drobnej szlachty, jako też synom senatorów.[1]). A gdy uniwerysytet się zapełnił i miejsca zabrakło, książę Albrecht nie odsyłał młodzieńców z powrotem do ziemi ojczystej, ale na własny koszt wysyłał ich do uniwersytetu wittenburgskiego, dając im tamże bezpłatną naukę i bezpłatną lokatę.

W tym to okresie zjawiło się we Wrocławiu dwóch znakomitych uczonych i bystrego umysłu mężów, a należy nam o nich wspomnieć, gdyż każdy rozwijał na Śląsku działalność religijną w odrębnym kierunku. Pierwszym był Kacper Schwenkfeld[2]), sekciarz luterański, urodzony 1490 r. w Osinku pod Lignicą, zmarł na wygnaniu 1561 r. w Ulmie, w Wirtembergskiem. Drugim był Jan Dobenek (Cochlaeus), kanonik wrocławski, zawzięty nieprzyjaciel reformacyi, urodzony 1479 roku w Wendelsteinie pod Norymbergą, zmarł 1552 roku.

Nauka Kacpra Schwenkfelda szerzyła się w sposób zatrważający i zjednywała sobie coraz to więcej zwolenników. Niewiele się różniła od Lutra. Oprócz niektórych innych punktów, różniła się pod względem obrządków wieczerzy Pańskiej i pod względem pojmowania człowieczeństwa Chrystusa. Lecz Schwenkfeld ogładzony na różnych uniwersytetach, a zwłaszcza w Kolonji, umiał się wkraść w łaski książąt śląskich. Został ulubionym dworzaninem u księcia Karola ziembickiego (Münsterberg), u księcia Fryderyka II lignickiego i takież stanowisko zajmował jeszcze na innych dworach książąt śląskich. I ci oto książęta stali się jego zwolennikami, pociągając za sobą szlachtę, mieszczan, lud.

Od Łużyc po zachodniej stronie Śląska, aż do ziemi opawskiej zdobywali Luteranie i Schwenkfeldyanie jedną za drugą placówkę. Dziedzic Paczkowa (Patschkau), Ratkowic (Reichenstein), Komyż (Komeis), Gałdun (Galdaun), Wódki (Hochkretscham), Lichnowa (Lichtenstein) i wielu innych miejscowości, jako gorliwy Schwenkfeldyanin, zmuszał swoich pod-

---

[1]) W bibliotece uniwersytetu królewieckiego znajduje się znaczna liczba próśb i podań wniesionych przez senatorów polskich na imię księcia Albrechta o przyjęcie synów do uniwersytetu. Pomiędzy temi prośbami znajduje się także podanie Andrzeja Górki, kasztelana poznańskiego, który ze względu na osobistą i poufałą znajomość z księciem Albrechtem, prosi o pomieszczenie syna swojego w uniwersytecie i zaliczenie go w poczet uczącej się młodzieży. (Gallandi, geneolog Prus Wschodnich).

[2]) Należy odróżnić Jana Schwenkfelda, dominikanina-inkwizytora, zamordowanego w Pradze Czeskiej.

danych do porzucenia wiary katolickiej i do słuchania nauk i kazań w zborze ratkowickim. Opornych karał cieleśnie lub do więzienia wrzucał.

Wieś Błyszkowice (Weisswasser), pierwotnie należąca do biskupstwa odmuchowskiego (Ottmachau), obecnie do ziemi opawskiej, posiadała od zamierzchłych czasów kościołek wraz z cudownym obrazem Matki Boskiej szeroko po świecie łaskami słynącej. Odwiedzała go w swoim czasie święta Elżbieta. Przychodziły procesye z blizka i zdaleka; garnął się lud do Matki wszystkich matek, szukając ratunku i pociechy w nieszczęściu. A że to się zluteranizowanemu dziedzicowi nie podobało, użył więc ostrzejszych środków: rozpędzał pielgrzymów i przychodzące procesye, a nieposłusznych wrzucał do więzienia. Atoli lud błyszkowicki, wierny wierze swoich praojców, nie uląkł się groźby swojego pana. Kary i prześladowania znosił cierpliwie — i cierpliwie też wyczekiwał lepszych czasów. Dziedzic zaś, widząc, iż swoich poddanych Błyszkowiczan nie nakłoni do przyjęcia luteranizmu, widząc, iż mimo wszelkie represye, coraz to więcej wiernych skupia się pod cudownym obrazem Matki Boskiej, zabrał w końcu kościołek, osadzając w nim kaznodzieję luterańskiego.

Casparus Logau, nobilis silesius, 37-my biskup wrocławski, wizytując w roku 1579 kościoły w miejscowościach zluteranizowanych, wizytował także i Błyszkowice, gdzie część ludności pozostała wierną wierze katolickiej. O tych to mieszkańcach biskup Logau pozostawił w sprawozdaniach wizytacyjnych następującą chwalebną wzmiankę: „w Błyszkowicach przemocą zmuszono lud do poddania się kaznodziei luterańskiemu — lecz żąda proboszcza — kapłana katolickiego“.

Walka religijna w tejże miejscowości trwała do roku 1602, a dziedzic [1]) w ciągu tego czasu nie przestawał rozpędzać pielgrzymów, a przedewszystkiem poddanych swoich, których niemiłosiernie karał i prześladował.

Po śmierci dziedzica (1602 r.), wszelkie majątki po nim nabył hr. Krysztof Maltic, starosta ziemiański biskupstwa wrocławskiego, mąż prawy, zacnego charakteru i wielce przywiązany do wiary katolickiej.

Z nastaniem nowego pana, nastały też lepsze czasy dla mieszkańców błyszkowickich. Nowy dziedzic obszernych włości, nazwanych Hertwigswalde, do których należały Błyszkowice, zamiast kościołka zastał już tylko kupę gruzów, obrosłych chwastem. Na tych gruzach wzniósł w roku 1604 okazałą świątynię Pańską, umieściwszy w wielkim ołtarzu znany nam cudowny obraz Matki Bożej łaskami słynący. Sprawił wszystko, co dla świątyni potrzeba: kielichy, ornaty, dzwony, monstrację, lichtarze, krzyże i t. d., a proboszcza wyposażył wieczystym funduszem.

---

[1]) Kronika nie wymienia nazwiska dziedzica.

Po Malticu, majętności Hertwigswalde wraz z Błyszkowicami przeszły w roku 1651 do rodziny hr. Hodica, który w dalszym ciągu świątynię starannie pielęgnował. W roku 1727 wszystkie te majętności odziedziczył Jakób Ernest hr. Lichtenstein z Lichnowa, kanonik, a późniejszy biskup ołomuniecki i salcburgski, który w tymże roku założył w Błyszkowicach Collegium piarum scholarum, egzystujące aż do roku 1845.

Oprócz wyżej wspomnianych Luteran i Schwenkfeldyan, którzy opanowali zachodnią część Śląska od Górnych Łużyc aż do ziemi opawskiej, powstało jeszcze stronnictwo szewca Jakóba Böhmego, zwanego Philosophus Teutonicus.[1]). Schwenkfeldyanie mieli siedzibę swoją w Złotej Górze (Goldberg), zaś Böhmiści w Zgorzelicach (Görlitz). Każde zatem stronnictwo szerzyło swoje zasady sekciarskie w wytkniętym dla siebie kierunku. A jednakże Schwenkfeldyanie, popierani przez swoich książęcych przyjaciół zdobywali sobie w tych okolicach najwięcej zwolenników.

W tym to krytycznym czasie — przy końcu XVI wieku, Kościół rzymsko-katolicki na Śląsku, doznawszy tyle sromotnych prześladowań ze strony obałamuconego przez sekciarzy ludu — zachwiał się w swoich odwiecznych podstawach.

W roku 1597 z zezwolenia cesarza Rudolfa II i z bulli papieskiej Klemensa VIII przybyli na Śląsk pierwsi kapłani z towarzystwa Jezusowego (Jezuici), zająwszy probostwo Kłacko (Glatz) ze wszystkiemi do tegoż probostwa przynależącemi dobrami. Arcyksiążę Karol 46-ty biskup wrocławski (1608 — 1628), czując do Jezuitów szczególną sympatję powiększył ich liczbę, a sprowadziwszy ich do Nissy w r. 1622, tamże stałą siedzibę im przeznaczył. Do Świdnicy przybyli 29 stycznia 1629 r. [2]). Do Głogowa w roku 1629. W Opolu widzimy ich w r. 1632 [3]). Do Żegania sprowadził ich Wallenstein w r. 1635. Do Brzega przybyli w r. 1675 [4]). Około roku 1698 osiedlili się w Lignicy, a cośkolwiek wcześniej w Niemieckim Sycowie (Deutsch-Wartenberg) i w Jeleniej Górze (Hirschberg). Ogółem Jezuici na Śląsku posiadali: 8 kolegium, 3 rezydencye i 2 misye czyli kuratorstwa: w Niemieckich Piekarach i w Harspersdorf.

Jak widzimy z powyższego zestawienia, to siedziby Jezuitów z wyjątkiem Niemieckich Piekar, nie przekroczyły brzegów prawej strony Odry. OO. Jezuici skierowali swoje kroki tam, gdzie żywioł sekciarski najbardziej naruszył podstawy wiary rzymsko-katolickiej. Sekciarstwo prześladowane

1) Jakób Böhme lub Böhm ur. w r. 1575 w Altreidenburgu † 1624 roku w Zgorzelicach.

2) Podług innych źródeł w r. 1630.

3) Instalacya Jezuitów w Opolu liczy się dopiero z dniem 4 listopada 1667 r

4) Podług innych źródeł dnia 1 czerwca 1681 r.

przez Jezuitów musiało w końcu uledz. Böhmiści, połączywszy się ze Schwenkfedyanami, przenieśli się ze Śląska do Saksonii, gdzie znaleźli opiekę u żarliwego zwolennika hr. Zinzendorfa. Wkrótce jednakże i tam prześladowani, przenieśli się do Ameryki, gdzie do dziś utrzymali się w Filadelfii i Marylandzie.

Drugim mężem, zapisanym na kartach historyi Śląska, jak wyżej wzmiankowaliśmy, był Jan Dobenek (Cochlaeus), kanonik wrocławski, bratanek Joba Dobenka, 18-go biskupa-kardynała pomezańskiego (1512—1520), sławnego dyplomaty, często przez króla Zygmunta I wzywanego do Krakowa na poufne narady.

Jan Dobenek, kanonik wrocławski był mężem wielce uczonym i znamienite w hierarchii położył zasługi.

Zawzięty nieprzyjaciel Marcina Lutra i jego reformacyi walczył nie czynem, ale piórem. Drukował broszury i książki przeciw reformie i rozrzucał je po Śląsku na wszystkie strony. Wydał „Dzieje Husytów", do napisania których wypożyczył mnóstwo rękopisów od kapituły pragskiej, a po zużytkowaniu spalił je, aby zniszczyć źródło prawdy. Wyszła w tymże samym czasie książka pod tytułem: „Wabik Marcina Lutra"[1]), która wiele krwi napsuła nietylko reformatorowi ale i jego zwolennikom. Autor tej pracy po dzień dzisiejszy nieznany. Świat naukowy jednakże twierdzi, że autorem tejże bezimiennej pracy nie był kto inny, jak Jan Dobenek, kanonik wrocławski.

(D. c. n.).



WSPOMNIENIE.[2])

Ludwik Zbysław!

Był to mój pierwszy nauczyciel... Pamiętać go będę do śmierci, a kochałem go, jakby był członkiem mojej najbliższej rodziny.

Ludwik Zbysław!

---

1) Lockspiel Martin Luthers. (Moguncya 1531).

2) Utwór ten podajemy, aby uczcić pamięć niedawno zmarłego a zasłużonego pisarza ś. p. Kajetana Abgarowicza.

Imię Ludwik dostał na chrzcie świętym, tak bardzo po słowiańsku brzmiące nazwisko „Zbysław“ odziedziczył po ojcu, wprost z Czech importowanym kulturtregerze austryackim, który, jako kancelista urzędu pocztowego w Buczaczu, miał zadanie i obowiązek germanizować słowiańską ludność w Galicyi.

Nikogo nie zgermanizował, sam przez ożenienie się z Józefką Biernacką, okoliczną szlachcianeczką z Puźnik, na wpół się spolonizował... A syna Ludwika wychował na gorącego polskiego patryotę, na najlepszego syna polskiej ojczyzny.

* * *

Miałem sześć lat, kiedy Zbysław został moim nauczycielem.

Nastręczył go proboszcz unicki, Bilinkiewicz, serdeczny przyjaciel moich rodziców i długoletni przyjaciel i sąsiad mego dziada. A wynalazł go według wskazówek księdza superiora buczackich Bazylianów, u których Zbysław pobierał nauki... Właśnie skończył on był gimnazyum i starał się zebrać pieniądze, aby udać się do Krakowa na wydział filozoficzny.

Było to wkrótce po śmierci mego dziada. Moi rodzice mieszkali na stepowym folwarku „Hupały“, ale tam dom był mały, ciasny i zupełnie nie nadający się do umieszczenia w nim „szkoły“ i nauczyciela. Ulokowano nas więc w Rukomyszu, gdzie mieszkała nasza babka i wujostwo Ludwikowie... Był tam obszerny „dwór“ z suterenami, pięterkami, facyatami, gościnnemi pokojami i całą masą ubikacyj, mieszczących się w starych szlacheckich dworach.

Na „szkołę“ przeznaczono pokój „na facyatce“ od południa... Izba była duża, nie bardzo wysoka, ale za to przestronna: powietrza a światła miała do sytu... Rezydowaliśmy tam we trzech: pan Zbysław, ja i mój młodszy, pięcioletni brat Kazio. Dwa o czterech olbrzymich szybach okna, wychodzące na przecudowny park, na rzekę i olbrzymie nadwiślańskie topole, były po całych dniach otwarte i dawały nam całe potoki najświeższego powietrza. Zbysław, który cierpiał już wówczas na płuca, rozkoszował się tem powietrzem i utrzymywał, że wracał zupełnie do zdrowia. W rzeczy samej w bardzo szybkiem tempie odzyskiwał rumieniec na twarzy i blask oczu.

. . . .

Kochałem tego mego pierwszego nauczyciela, jak nikogo na świecie, oprócz moich rodziców.

Dziwny to był człowiek: umiał zadzierzgnąć pomiędzy swą duszą a duszą sześcioletniego swego ucznia węzeł jakiś mistyczny, który wiązał

mnie do niego, przykuwał wprost, sprawiał, że stawałem się częścią jego pięknej duszy. Wpływ rodziców, pieszczoty starej bony „babci“ Lewińskiej, opowieści strzelca Słabyny, wszystko poszło na bok, Zbysław stał się niepodzielnym panem mej duszy, bóstwem mej wyobraźni, ideałem mego dzieciństwa.

Nauczycielem był niezrównanym... Jego talent pedagogiczny sprawił, żem wolny był od tej ciężkiej pracy, którą ludzie zwą nauką czytania, sylabizowania i t. d. Sam nie pamiętam, kiedy i w jaki sposób posiadłem ten ciężki kunszt... Zdaje mi się, że od kiedy siebie pamiętam, to już umiałem czytać i pisać. Nie pamiętam się zupełnie analfabetą.

Czegoż on mnie właściwie uczył?

A uczyć czegoś musiał, bo byliśmy cały dzień, od przebudzenia aż do udania się na spoczynek. Nie zostawiał nas prawie nigdy samych.

Cóż robił przez ten cały długi dzień?

Wprowadzał nas w świat zaczarowany. W siódmym roku życia wiedziałem o rzeczach, o jakich, niestety, nie wiedzą często dorośli ludzie.

Syn germanizatora, robił z nas gorących Polaków! Umiał on opowiadać takie cudowne podania, umiał barwić tak prześlicznie swe opowieści, że siedzeliśmy godzinami, zasłuchani, zamodleni, oderwani od świata, przeniesieni w jakiś świat inny, pełen cudowności, w mistyczne mroki, światełka i półcienie, w których było nam tak dobrze, tak słodko, tak rozkosznie, że do dziś czuję żal, iż nie mam już siły wrócić do tej zaczarowanej krainy marzeń i złudzeń, do tego królestwa, stworzonego przez chorego na płuca studenta buczackiej bazyliańskiej szkoły.

Kochał on całą naszą przeszłość. Znał cnoty i wady narodu, był sprawiedliwy w sądach, ale specyalnie ukochał był niektóre epoki naszych dziejów, niektóre postacie, niektóre zdarzenia.

Ulubionemi jego postaciami byli: stary kołodziej Piast z żoną Rzepichą i ta sfera starosłowiańskiego wieśniactwa, ci aniołowie i te cudowne syna postrzeżyny. Cała ta baśń w ustach naszego Zbysława nabierała wprost cudownego zabarwienia — słuchaliśmy jej z zatrzymanym oddechem i z biciem dziecięcych serc... Albo groźna i ponura postać króla Chrobrego, który roznosił sławę Polski po świecie i zmuszał, aby ją wszędzie czczono i szanowano jej imię...

Z jakiemże natchnieniem i miłością kreślił rysy wielkiego króla chłopów ukochanego Kazimierza, który poszarpanej, upadłej, zbeszczeszczonej Polsce zdobywał na nowo blask, którym świeciła za Bolesławów.

Surowy Węgier król Stefan, i serdeczny szlachcic, rycerz chrześcijański Jan III, również należeli do ukochanych postaci Zbysława. Ale ponad wszystkich ukochał był pana Naczelnika i jego chłopskie sympatye, i tych kosynierów w białych sukmanach, i te gorące prądy, które umiał przelewać

Naczelnik w ciemne, zapracowane masy. Gdy mówił o nim, oczy mu ogniem natchnienia płonęły, a głos drżał od wzruszenia i łez tłumionych...

Była to jesień 1863 r. Kraj pokrywał się żałobą.

Dom cały był pełen powstańców.

Był tam Ukrainiec, chłopoman, Niedźwiecki, student uniwersytetu moskiewskiego, serdeczny chłop, ale wróg szlachty i mętny umysł... Ten stał się stałym uczniem Zbysława, przesiadywał po całych dniach w naszym pokoju i słuchał... A później, rozrzewniony, zapłakany, rozrywał czerwoną koszulę na piersiach i wołał do przestraszonego studenta:

— Bierz nóż! Bij tu w serce! Zabij, bom grzeszył, matkę ojczyznęm rozlubił!... Plunąć mi w gębę nie warto!

Był olbrzymi chłop, okoliczny szlachcic z suwalskiego, głodne dziecko piasków, Jan Dąbrowski. Ten spłakiwał się jak bóbr i Zbysława kilkakroć całował i zlewał mu ręce łzami, wołając:

— Tyś mi więcej niż ojciec i matka... Oni mnie na świat wydali, tyś mi świat pokazał, tyś mi pokazał, com zacz jest.

Był Mogan, subjekt handlowy z Warszawy... Ten najdłużej się odpórnie trzymał, nawet zrazu kpił z czułostek bakałarza, aż wreszcie raz jak długi padł na ziemię, ryknął jak wół i zaczął nogi studenta całować...

Wszyscy się zdumieli, a on wołał:

— Duszę mi zabrałeś! Nie chciałem się przyznać! Pyszny byłem!... Aleś mi duszę wziął, gadaj co mam robić, jak żyć, aby iść tam, gdzie ojce chodzili. Zaczarowałeś mi duszę, teraz drogę dalszą pokazuj!

Tak samo opanował on był całą duszę moją, tak samo zawładnął był duszami tych zwykłych ludzi.

* * *

Gdy w styczniu ogłoszono stan oblężenia i zaczęto chwytać powstańców w Galicyi, wówczas rozpoczęła się gorączkowa czynność Zbysława....

Stary kancelista Zbysław senior miał pod swą opieką blankiety paszportowe. Otóż kilkadziesiąt sztuk tych blankietów syn skradł poprostu z biurka ojca, opatrzył je pieczęcią urzędu powiatowego i na tych blankietach wypisywał *en masse* pasporty dla powstańców; na mocy ich opuszczali oni legalnie niegościnne kraje korony habsburskiej. Władze nadgraniczne zwróciły uwagę na niezwykle wielką liczbę pasportów, wydawanych w Buczacu... Zrobiono dochodzenie, nic nie odkryto, ale naczelnik powiatu, Breńkowski, zaczął coś przewąchiwać... Otoczono Zbysława silną opieką.

* * *

Od chwili zaprowadzenia stanu oblężenia, porządek domowy był taki, że bramę wjazdową zamykano na łańcuch i silne kłódki, a kto się chciał dostać do dworu, musiał dzwonić w wielki dzwon w bramie i czekać, aż stróż nocny uda się po klucz do mego wuja i tym kluczem bramę otworzy... Cały ten proceder trwać musiał co najmniej kwadrans.

. . . .

Pamiętam, jak w pewną noc lutową, chmurną i mroźną, rozległ się złowieszczy odgłos dzwonu... Zerwałem się na równe nogi... Spojrzałem na łóżko Zbysława. Nie spał także. Siedział już na łóżku, naciągając pośpiesznie jakieś cieplejsze odzienie.

— Co to? — szepnąłem.

— Zapewne rewizya — odpowiedział ledwie dosłyszanym głosem.

W tej chwili zastukał ktoś do drzwi.

— Kto tam?

— To ja, Domanowska.

— Co się dzieje?

— Awantura, żandarmi, sam naczelnik... Wszystko pod bramą... Powstańcy już przez ogród i rzekę wynoszą się do Ilka, pobereżnika. Czy nie ma pan czegoś do zabrania?

— Nie.

Stara panna znikła, poczłapawszy schodami na dół.

Mnie serce biło jak młotem. Wiedziałem, w której szufladzie komody mój ukochany nauczyciel miał przechowany cały plik blankietów paszportowych, i wiedziałem, że za to groziła mu wielka kara, gdyby te papiery znaleziono.

Nagle uczułem na twarzy gorący oddech Zbysława... Stał tuż przy mnie...

— Czy chcesz oddać ojczyźnie wielką usługę? — szepnął.

Serce ze wzruszenia bić mi przestało... Cała istota moja przemieniła się w pragnienie... W pragnienie spełnienia czegoś nadzwyczajnego... W pragnienie — ofiary.

Byłem w możności w tej chwili otworzyć żyły i całą krew wytoczyć na skinienie mego nauczyciela.

— Chcę! — odrzekłem.

— Wstawaj i ubieraj się!

W dziesięć sekund miałem majtki i ciepłą kurtkę na sobie.

— Bierz sukienne, ciepłe obuwie!

Stało się.

— Teraz słuchaj! — szepnął. — Tuż pod oknem jest wązki daszek,

najwyżej trzy, cztery rzędy gontów mający... Na ten daszek musisz przez okno zleźć i tam pod gonty wsadzić ten oto plik papierów.

Tu podał mi nieduży pakiet, owinięty w żółtą, nieprzemakalną ceratę, i mówił dalej:

— Daszek jest ślizki, omarznięty; jeżeli się pośliźniesz, to spadniesz, zabijesz się i całą sprawę wydasz... Czyś pewny swych nóg?

— Pewny! zupełnie pewny.

— No, to chodź!

Wziął sznur, którym okręcał swój roztrzęsiony kuferek podróżny, okręcił mi go około pasa, dał do ręki dość duży ostry nóż myśliwski i bez słowa podprowadził mnie do okna. Okno składało się z czterech bardzo dużych szyb, z których jedna miała osobną ramę i dawała się oddzielnie otwierać, dla wpuszczenia świeżego powietrza. Otworzył ją, mroźny podmuch północnego wiatru wdarł się do pokoju... Wstrząsnąłem się, alem odwagi nie stracił. Wsunąłem się w szybę i za chwilę stanąłem na wązkim daszku. Nożem i rękoma udało mi się oderwać jedną gontę i papiery wsunąć pod sąsiednią...

Wielkie dzieło było dokonane!

Zabierałem się do odwrotu tem bardziej, że do moich uszu dolatywał skrzyp otwieranej bramy i przekleństwa przemarzłych żołnierzy i żandarmów. Z palców obficie krew mi ciekła, a z zimna dygotać zacząłem.

Za chwilę jednak byłem już w pokoju, pod ciepłą kołdrą, ubranie w porządku poskładane leżało na krześle obok łóżka... Mój nauczyciel, wzruszony dziwnie, stał obok i ciężko oddychał. Otulił mnie kołdrą, przyłożył rękę do mego czoła i szepnął:

— No, teraz leż spokojnie i udawaj, że śpisz!

. . . .

. . . .

Słyszałem, jak z hałasem, brutalnie, otwierano drzwi wchodowe do dworu. Miarowy, ciężki odgłos kroków kilkunastu maszerujących żołnierzy dochodził do mych uszu... Nie drgnąłem nawet... Zasugestyonowanemu głosem Zbysława, zdawało mi się, że w rzeczy samej śpię — słyszałem jednak wszystko.

Słyszałem, jak na dole jakiś skrzeczący, antypatyczny głos pytał starego Franciszka, lokaja, gdzie jest pokój, zajmowany przez nauczyciela Zbysława... Słyszałem, jak ciężkie kroki skierowały się wprost do nas na górę... Słyszałem, jak schody skrzypiały i uginały się pod niedźwiedziemi stopami kilkunastu żołnierzy... Drgnąłem, gdy doszło do mych uszu silne uderzenie kolbą karabina do drzwi naszego pokoju.

Drzwi odskoczyły, a w nich ukazał się Franciszek ze świecą, poza nim szczecina najeżonych bagnetów.

Zaparłem w sobie oddech.

— Ludwik Zbysław — zapytał groźnie urzędnik.

— Jestem — odrzekł zapytany z zimną krwią.

— Wstawać!

— Proszę ciszej, aby dzieci nie poprzestraszać, śpią razem ze mną.

— Wstawać! Nie dysputować!

— Czego panowie sobie życzą? — zapytał Zbysław już ostrzej.

— Wydania skradzionych w urzędzie powiatowym blankietów paszportowych! — brzmiała odpowiedź, wypowiedziana ironiczno-bezczelnym tonem.

— O żadnych blankietach nic nie wiem.

— Zobaczymy!

Tu przemawiający o wstrętnej, zapiłej, czerwonej twarzy urzędnik zwrócił się do wachmistrza żandarmów i zawołał:

— Koło tego panicza postawić wartę... A cały pokój przeszukać, ale po naszemu.

Rozpoczęło się piekło! Przetrzęsiono wszystko. Każdy świstek na stole, każdą książkę w kuferku. Każdą sztukę bielizny i ubrania... Wyrzucono słomę z sienników, odrywano deski w podłodze... Do okna jednak nikt się nie zbliżył.

Patrzałem na wściekłość urzędnika, pieniącego się ze złości, że te poszukiwania są bezowocne.

Przyskakiwał do Zbysława i, rycząc prawie, pytał:

— Powiedz, gdzieś schował, nic ci nie będzie... W przeciwnym razie z brzucha ci te blankiety wydostanę... Nikt ich ukraść nie mógł, tylko ty, obwiesiu!

— Proszę się nie zapominać! I pełnić swą powinność! — brzmiała zimna, ironiczna, prawie kpiąca odpowiedź studenta.

Wszystko nadaremnie, nic nie znaleźli... Zbysława uwolnili z pod warty, a żołnierze przeszukali jeszcze garderobę, w której spała panna służąca mej ciotki, Domanowska, i jak niepyszni, wynieśli się, nie tykając reszty domu.

. . . .

Breńkowski za tę bezprawną a tak brutalną rewizyę i za gwałt został zabrany z Buczacza i przeniesiony do Kossowa na węgierską granicę, gdzie wśród pół-dzikich Huculów mógł popuścić wodze swej brutalnej naturze.

Z biura zbysławowego wydano jeszcze kilkanaście pasportów, za którymi wyjechali powstańcy do Rumunii.

* * *

Czas szybko płynął. W czerwcu skończyła się nasza nauka i w obecności naszego ojca, wuja i księdza proboszcza Bilinkiewicza złożyliśmy świetnie egzamin z pierwszej klasy szkoły normalnej w Buczaczu u Bazylianów. Później byliśmy na śniadaniu u superiora. Wieczorem ojcowie Bazylianie i ks. Bilinkiewicz zjechali na obiad do Rukomysza.

Moi rodzice z powodu stosunków rodzinnych musieli się przenieść na Podole rosyjskie... Mój ojciec i ksiądz Bilinkiewicz napróżno upraszali Zbysława, aby jechał z nami i dalej kierował naszem wychowaniem... Odmówił, bo sam się chciał uczyć.

Odebrał zapracowane trzysta guldenów i wyjechał do Krakowa.

Później słyszałem, że został był nauczycielem gimnazyalnym w jednem z miast galicyjskich, że uczył świetnie, wreszcie umarł na chorobe piersiową.

Nigdy w życiu już go nie spotkałem.

Świeć, Panie, nad jego piękną duszą!

Abgar Sołtan.

3/I 1909 r. w Bałakirach.



Złote słowa i czyny.

Wirgiliusz i „Eneida".

Wirgiliusz siedem lat pracując nad „Eneidą", owem arcydziełem po dziś dzień uwielbianem, wcale nie był z niej zadowolonym i testamentem rozkazał spalić rękopis sławnego poematu, nie zasługującego, zdaniem jego, na rozpowszechnienie. Na szczęście wykonawcy testamentu osądzili inaczej i wydali „Eneidę", którą sąd uczonego świata za arcydzieło ogłosił.



Dzieje Wystawy Przemysłu i Rolnictwa w Częstochowie.


Herb Częstochowy.

Kiedy w roku 1907 zapanował u nas ruch w kierunku urządzania rolniczych wystaw powiatowych, Częstochowa nie pozostała bezczynną.

Pan Antoni Janowski zapoczątkował w tym kierunku usiłowania całego szeregu ludzi dobrej woli.

Usiłowania te w miarę rozwoju przedsięwzięcia ogarniały coraz szersze pola.

W zetknięciu się z warunkami miejscowemi pierwotny projekt urządzenia wystawy wyłącznie rolniczej — powiatowej — musiał uledz zmianie.

Powiat Częstochowski z przewagą przemysłu nad rolnictwem, z małą ilością średniej własności rolnej, nie mógł stanowić odpowiedniego terenu do wystawy wyłącznie rolniczej.

Ztąd powstało pytanie, jaką ma być wystawa?

Na pytanie to nie znaleziono kategorycznej odpowiedzi na zebraniu organizacyjnem, dnia 8-go grudnia 1907 roku.

Licznie zgromadzeni rolnicy i przemysłowcy uchwalili tylko, że wystawa ma być przemysłowo-rolniczą w większym, niż dotychczasowo, zakresie. „Jaką" w ścisłem znaczeniu ma być — to pozostawiono do decyzyi

wtedy, kiedy wybrany komitet organizacyjny zdoła przeprowadzić stosowne zbadanie warunków i wygotować odpowiedni preliminarz.

Na zebraniu powyższem zadeklarowano 9,000 rubli kapitału gwarancyjnego.

Dnia 5 maja 1908 roku komitet organizacyjny zdał sprawę ze swych studjów.

Uznano za stosowne wytężyć usiłowania w celu urządzenia wystawy przemysłowo-rolniczej ze względu na przemysł miejscowy i na znaczenie miejscowe jako rynku zbytu dla rolnictwa.

Po za tem Częstochowa, jako „stolica ludu“ wędrującego tutaj z całego kraju, w najwyższym stopniu posiada warunki powodzenia.



Fotografia „Dzwonka Częstochowskiego“.

Widok ogólny wystawy z wieży Jasnogórskiej.

Te sprzyjające warunki nakładają i obowiązki.

Ztąd potrzeba podniesienia dydaktycznej strony przedsięwzięcia przez ufundowanie stałych, nieprzemijających wzorów i instytucyi.

Tak powstaje myśl zbudowania wzorowej zagrody włościańskiej, wzniesienia muzeum przemysłu ludowego i muzeum hygienicznego. Żeby i samo miasto Częstochowa skorzystało z okazyi wystawy, wzamian za oddanie pod wystawę części parku miejskiego — postanowiono doprowadzić do porządku tę część parku z dużym nakładem pomysłowości i środków.

Hasło nawiązania stosunków z Czechami i t. p. stawało się w czasie zebrań organizacyjnych popularnem i to wycisnęło swoje piętno na charakterze zamierzeń Komitetu. Nawiązano stosunki z Czechami, z Węgrami, Belgią, Francyą i t. d.

Sprawa urządzenia wystawy poczęła się krystalizować. Kapitał gwarancyjny wzrósł do 20,000. Powołano Komitet do wypracowania technicznych warunków i programu wystawy z uwzględnieniem dyrektyw wypływających z powyżej nadmienionych okoliczności.

Usiłowania Komitetu znalazły nadzwyczaj gorący oddźwięk w całym kraju i po za jego granicami.

Odtąd postanowiono nie trzymać się ciasnych ram i w miarę rozwoju zainteresowania sfer właściwych przekształcano zakres wystawy, rozszerzając projektowane budynki i wprowadzając nowe działy.

Na 47 morgach rozgościła się wystawa.

17 kwietnia 1909 r. rozpoczęto budowę pawilonów.

Początkowo zimna, a później deszcze utrudniały roboty, zwłaszcza terenowe.

5 lipca budynki „komitetowe" były ukończone.

Zawrzała robota wystawców.

Otwarcie Wystawy Przemysłu i Rolnictwa w Częstochowie.



Afisz wystawy.

W dniu 5 sierpnia uroczyście otwartą została wystawa przemysłu i rolnictwa. Pogoda dopisała prześlicznie, to też cała uroczystość wypadła wspaniale. Po Mszy Świętej w kaplicy M. B. Częstochowskiej, wszyscy zebrani udali się z duchowieństwem na czele do głównej bramy wystawowej. Tu przemówił przełożony jeneralny zakonu OO. Paulinów ks. Euzebiusz Rejman, dopełniający uroczystości poświęcenia wystawy.

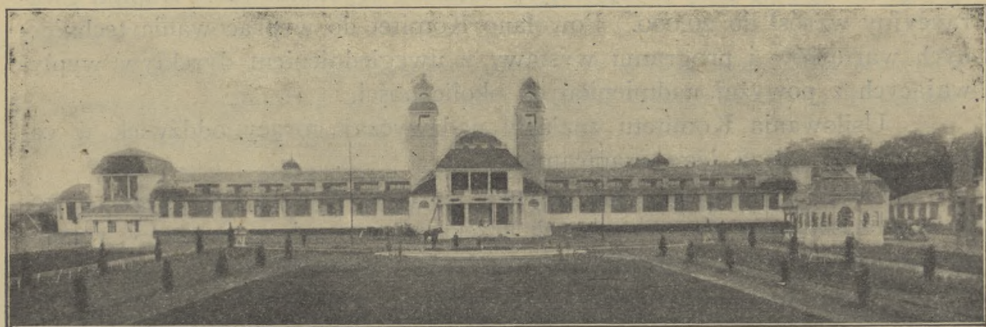
Po nim przemówił ks. Stefan Lubomirski, życząc, aby wystawa była symbolem zjednoczenia wszystkich pracujących dla dobra kraju i zadatkiem lepszej przyszłości. Następnie księżna Stefanowa Lubomirska przecięła podanemi jej przez jenerała Kaznakowa nożycami wstęgę zagradzającą wejście, co oznaczało otwarcie wystawy.

Uroczyste marsze i śpiewy chóralne dopełniły pięknej całości.

Zjazd na wystawę zapowiada się ogromny. Wszyscy duchowni, przewodnicy parafii rozumiejący doniosłość wystawy i jej ogólno kulturalne kształcące znaczenie dla ludu, powstrzymali pielgrzymki do czasu otwarcia

wystawy. Opłata za wejście dosyć nizka, dla zbiorowych wycieczek zniżoną będzie do minimum.

Nie zapominajmy, że wystawa częstochowska to wyraz naszej pracy kulturalnej; — na wystawie częstochowskiej zobaczymy co mamy w kraju,



Pawilon główny.

na co możemy liczyć i czego nam brakuje. Wystawców wogóle około 700. Każdy kto ma możność, powinien zwiedzić tę wystawę, gdyż wiele nauczyć się może.

Mowa ks. Przeora Rejmana wypowiedziana przy otwarciu Wystawy.

Przez długi czas Częstochowa była twierdzą, a w niej modlitwa obok siły zbrojnej dla ochrony miejsca i kraju. Od wieku już Jasna Góra przestała być fortecą i dziś pod jej murami praca obrała miejsce na święto swoje... wystawia zdobycze z dziedziny rolnictwa i przemysłu krajowego, a nie będąc zazdrosną, udziela gościny i innym narodom.



Pawilon rękodzieł i drobnego przemysłu.

Nic słuszniejszego, że to miejsce właśnie gdzie najgorętszem tętnem bije modlitwa narodu, rolnictwo i przemysł krajowy wybrały sobie na wystawę, wszak modlitwa i praca kojarzą się z sobą najlepiej, jedna drugiej duszą być winna. Tu i wielkie rzesze pielgrzymów oglądać mogą wystawę i nauczyć się wiele.

Ogólna podzięka należy się wszystkim, którzy stworzyli to wielkie dzieło a tem głębsza, im większy brali w niem udział.

To święto pracy jest głośną nauką, że praca winna być towarzyszką człowieka każdego, że biada temu kto się od niej wyłamuje, — psuje przyrodzony porządek rzeczy, dla nieszczęścia swego i innych.

Jeżeli zaś komu, to narodowi naszemu pracować potrzeba bardzo, powinien dogonić jedne narody, innym nie dać się wyprzedzić, inaczej bo-



Wzorowa zagroda włościańska.

wiem skazywałby się dobrowolnie na nędzę i musiałby znosić jeszcze srom swojego lenistwa lub niezaradności.

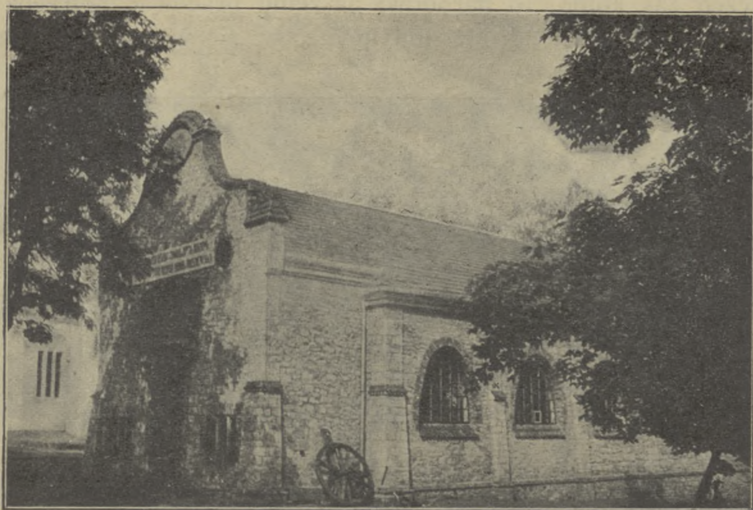
Praca nadto rozwija władze umysłowe, uszlachetnia człowieka, daje mu poznać skarby jakie Bóg złożył w jego duszy i własnej ziemi, praca uczciwa wiedzie z podzięką przed ołtarze pańskie, prosi o błogosławieństwo i nowe siły.

Z planem pracy, z kłosami pełnymi stawał dziś komitet wystawowy przed ołtarzem Bogarodzicy, co jasnej broni Częstochowy.

Tak stary obyczaj narodu kazał, któremu religia była zawsze gwiazdą przewodnią, który wierzy, że z Bożych rąk żyjemy, choć naszemi pracujemy.

Niechże więc błogosławieństwo Boże i opieka Najświętszej Panny Jasnogórskiej otoczy dzieło wystawy, niech sprawią coraz większe i szersze zamiłowanie do pracy w całym narodzie, niech zdobywa ona coraz większy dobrobyt, niech z niego dostaje się ubogim i nic nie mającym, niech usunie z pośród nas nędzę i niedolę, tego z całego serca życzę, o to błagałem we Mszy Świętej przed cudownym Obrazem i w tej intencyi przystępuję do poświęcenia wystawy samej.

Następnie przeżegnawszy otoczenie znakiem krzyża i pokropiwszy święconą wodą, usunął się, a głos zabrał prezes komitetu głównego, książę Stefan Lubomirski.



Pawilon przemysłu ludowego.

Mowa Prezesa Wystawy Księcia Stefana Lubomirskiego.

Panowie!

Zebraliśmy się w licznem gronie, aby dopełnić aktu oficjalnego otwarcia wystawy, aktu, który ma być uwieńczeniem naszych usilnych starań i zabiegów.

Zanim przystąpimy do dokonania tych formalności, chcę w krótkich słowach skreślić i uprzytomnić historyę myśli urządzenia wystawy, cele, jakie z nią związaliśmy i życzenia, jakie z naszej strony jej towarzyszą.

Wszyscy pamiętamy czasy, kiedy kraj nasz po epoce gorączkowego rozstroju, popadł w stan apatyi.

Społeczeństwo, skołatane gwałtownymi skokami w napięciu uczuć i nadziei, odrętwiało a nawet zmartwiały podstawowe czynniki jego bytu

i rolnictwo, przemysł i handel, obezwładnione strejkami, masowem wychodźtwem robotnika i niepewnością jutra.

Nasza ziemia Piotrkowska, jako z istoty swej pograniczna i przemysłowa więcej od innych wpływy te zabójcze odcierpiała.

Dla niej też niezbędnem było wydarzenie niecodzienne, niezwykłej miary, by na tę martwotę sprowadzić reakcyę.

Tem wydarzeniem pożądanem miała się stać wystawa w Częstochowie i znalazło się grono ludzi dobrej woli i silnej wiary, którzy tę trudną i pozornie niewdzięczną pracę podjęli, aby społeczeństwo zelektryzować, na jedno miejsce ściągnąć, a, wykazując mu zebrane razem owoce wszystkich gałęzi wytwórczości, przekonać o naszej żywotności mimo gromu i nieszczęścia i tem dać bodziec i otuchę do podjęcia na nowo trzeźwej, zjednoczonej, pokojowej pracy, którąby odbudowała to, co ostatnie lata zniszczyły.



Pawilon rolnictwa.

Z gorącą wiarą, w potęgę imienia Częstochowy wzięli się oni do pracy, a nie szczędząc zabiegów, zdołali tę wiarę wszczepić w społeczeństwo i stworzyć dzieło, które od dziś danem jest oglądać, a którego zadaniem jest przemówić do szerokiego ogółu dosadniej, niż to czynią wszelkie gołe słowa i teoretyczne wywody.

Zaszczycony powołaniem na przewodniczącego temu gronu twórców Wystawy, zanim kraj cały zasługę ich oceni, chcę tu publicznie cześć im swoją wyrazić za myśl samą i jej urzeczywistnienie.

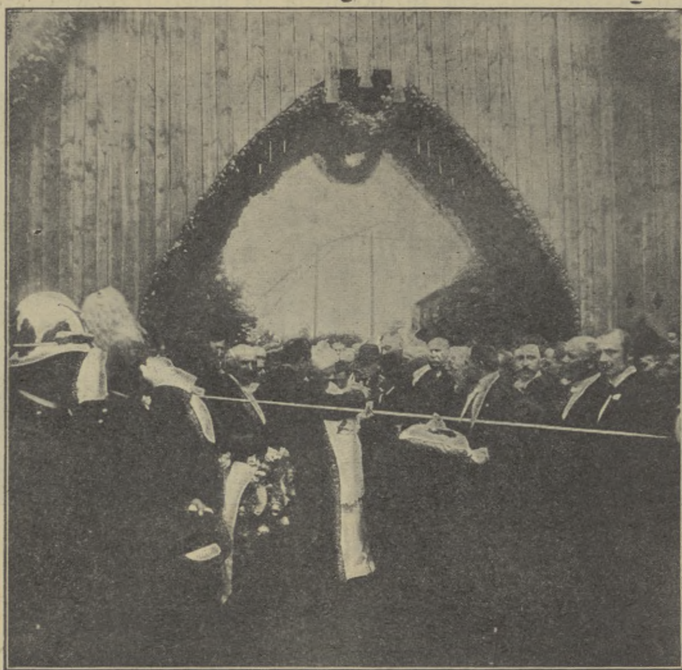
Wdzięczny jestem za przypuszczenie mnie do udziału w tem dziele, choć w drobnej części, w dziele, w którego skutek wierzę mocno.

Tu pod murami Jasnej Góry, jak przed wiekami do walki orężnej obudziło się sumienie ojczyzny i zdrodziły się siły; dzisiaj na polu ekono-

micznem będziemy świadkami tego samego cudu, gdy poznamy z zebranych tu zasobów nasze siły i pobudzimy się do czynu, by się wyzwolić z pod jarzma przemysłu obcego.

Te cele mieli w założeniu inicyatorzy Wystawy, Towarzystwo Rolnicze Ziemi Piotrkowskiej, w ich też imieniu oraz w imieniu Komitetu organizacyjnego składam dzięki tym wszystkm, którzy podążając na dzisiejszą uroczystość, dali dowód, że nasze zamiary pochwalają i dzielą nadzieję.

Zarazem czuję się w obowiązku temże imieniem wyrazić wdzięczność naszą władzom, instytucyom i osobom pojedyńczym, którzy nam poparcia swego nie poskąpili i otwieram Wystawę dla pożytku ogólnego.



Uroczyste otwarcie wystawy w d. 5 Sierpnia.

Co zawiera wystawa?

Nim podamy opis tylu pożytecznych rzeczy, które na wystawie zgromadzono, zamieszczamy wyszczególnienie główniejszych gmachów i pawilonów, a mianowicie: 1) Pawilon wielkiego i średniego przemysłu. 2) Pawilon drobnego przemysłu. 3) Hala maszyn. 4) Pawilon rolnictwa. 5) Stajnie i obory. 6) Hipodrom. 7) Panorama. 8) Restauracya „Drozdowo“. 9) Pawilon leśnictwa i łowiecki. 10) Pawilon ogólno-kulturalny. 11) Gazo-

ny. 12) Wodotrysk. 13) Kwietnik (herb m. Częstochowy). 14) Pawilon ogrodnictwa. 16) Kinematograf. 17) Bar krakowski. 18) Huśtawka. 19) Karuzel. 20) Teatr. 21) Kawiarnia Ostrowskiego. 22) Pawilon sztuki. 23) Wieża ciśnień. 24) Gospoda „Pod kogutkiem". 25) Muzeum hygieniczne. 26) Muzeum przemysłu ludowego. 27) Zagroda włościańska—dom mieszkalny. 28) Zagroda włościańska — obory. 29) Zagroda włościańska — śpichrz i drwalnia. 30) Zagroda włościańska — stodoła. 31) Zagroda włościańska — ogród warzywny. 32) Sadzawka. 33) Most na sadzawce. 34) Biuro Komitetu wystawy.

Czesi w Częstochowie i w Warszawie. Wiele, bardzo wiele kraj nasz spodziewa się po wystawie rolniczo-przemysłowej w Częstochowie. Urządzona u stóp starożytnego klasztoru Jasnogórskiego, zgromadziła okazy co najlepszego pod względem przemysłowym ziemie polskie posiadają. Jak wielkie mają znaczenie tego rodzaju popisy twórczej pracy ludzkiej, dowodzić nie potrzeba. Są one w dzisiejszych czasach niezbędne, okazują naocznie, pouczają, co dany naród posiada, jak pracuje, do czego dąży. Są miarą żywotności, energii, siły i wartości narodu. A może tak nigdzie, jak u nas nie są potrzebne...

Dlaczego?... Bo może nigdzie praca na polu przemysłu i handlu nie leżała tak długo odłogiem jak właśnie u nas. A przecież handel i przemysł, a przecież praca umiejętna i usilna w dziedzinie oświaty dziś stały się warunkami życia lub śmierci danego narodu.

Jak ongi na turniejach rycerze walczyli o palmę zwycięstwa kopią i mieczem, tak dziś nauką należy walczyć w dziedzinie pracy, bądź w rolnictwie, bądź w handlu, bądź w fabryce. Inne ludy, może o kilka wieków wyprzedziły nas pod tym względem. Dość wskazać pobratymców Czechów. Oni to mrówczą pracą, tą szarą, codzienną, tą powszednią pracą — sprawili to, że dziś na wielu polach zwycięsko oparli się Niemcom, stali się samodzielnymi gospodarzami w swym pięknym kraju. Ich, fabryki, ich gospodarstwa rolne, ich szkoły, ich świątynie, ich muzea i t. p. nietylko dorównywają niemieckim, ale je niejednokrotnie przewyższają. Dała tego dowody zeszłoroczna wystawa w Pradze czeskiej.

To, co zgromadzono obecnie na naszej wystawie w Częstochowie, nader chlubnie świadczy o przebudzeniu się i rozkwicie naszej przedsiębiorczości i pracy. Istne miasto, istny gród czarodziejski powstał u stóp Jasnej-Góry. Jest na co patrzeć, jest czem się pouczyć, jest z czego być dumnym. Naród, który tak pracować umie, ma tyle zasobów sił, rokuje świetną przyszłość, wróży nieśmiertelność.

Nim w następnych tomach „Dzw. Częst." szczegółowo rozejrzymy się w tym czarodziejskim grodzie pracy ludu polskiego, nie możemy się

oprzeć od złożenia hołdu tym, którzy swojem poświęceniem się i ofiarną a bezinteresowną pracą przyczynili się do urzeczywistnienia pięknej myśli urządzenia wystawy częstochowskiej. Są wśród nich przedstawiciele wszystkich sfer, począwszy od najwyższych, a są wszyscy zespoleni jedną myślą, jednem pragnieniem — dobra i szczęścia ogółu.

Radośnie powitano przyjazd na wystawę braci Czechów, którzy w rodzinie ludów słowiańskich zajęli jedno z miejsc pierwszych.

Czesi przybyli celem zwiedzenia wystawy i wyrażenia uczuć serdecznych bratniemu narodowi polskiemu. Ktokolwiek z Polaków był w roku zeszłym w stolicy Czech, Złotej Pradze, na wystawie przemysłowej, która się tam odbyła, ten witany był przez Czechów z zapałem, z serdecznością, z rzadką gościnnością, jakby krewni przybyli do krewnych, bracia do braci.

Wieśniaków naszych — pisze Zdzisław ks. Lubomirski, w swej odezwie, jako prezes komitetu przyjęcia gości czeskich — porywali rolnicy czescy, aby im pokazać swoje gospodarstwa, aby ich ugościć we własnej zagrodzie. Słów braknie, by wyrazić tę z głębi serca płynącą życzliwość, jaką wówczas okazano narodowi polskiemu. Pobyt w Czechach wyrył w duszach Polaków niezatarte wspomnienie. Zobaczyli naród godny podziwu i naśladowania. Z mogiły niemal, w którą wtrąciła ich przemoc niemiecka, nasi pobratymcy dźwignęli się siłą własną i wiarą w przyszłość. Odrodzili się pracą. I dziś świecą przykładem dzielności i patryotyzmu, budząc podziw kulturą i zasobnością“.

Czesi przysłali do nas wybitnych przedstawicieli wszystkich stanów, aby wyrazić tem silniej swe uczucia dla Polski, tej Polski, do której ongi, przed wiekami, przybyła ze Złotej Pragi królewna-jutrzenka, niezapomniana Dąbrówka, a wraz z nią zabłysło światło nowej ery dziejów naszych, ery rozkwitu, chwały i wielkości.

Tej to królewnie czeskiej zawdzięczamy, że nie od Niemców przyjęła ówczesna pogańska Polska światło wiary i cywilizacyi, lecz od bratniego narodu, od królewny, której imię po wszystkie czasy pozostanie dla nas drogiem i świętem.

Gości czeskich, którzy widzieli cuda przemysłu zachodniej Europy, owoce pracy ludów możnych i bogatych, może nie olśniła nasza wystawa rolniczo-przemysłowa w Częstochowie, ale ich zadziwiła.

— Dokonaliście cudów—mówili kiedyście już w nieszczęściu umieli tak pracować, kiedy nie poddaliście się zwątpieniu, lecz w pracy twórczej znaleźliście odrodzenie i w tej pracy-mistrzyni ujrzeliście lepszą swą przyszłość.

Goście z nad Wełtawy czuli się nad Wartą i Wisłą, jak u siebie w domu, czuli się jak wśród braci.

Najuroczystszym dniem po dniu otwarcia wystawy był ten, w którym Czesi przybyli do Częstochowy. Przeszło dwieście osób, przedstawiciel wszystkich sfer społeczeństwa czeskiego, przybyło do Polski. Stanęli na ziemi polskiej z bratniem powitaniem i pragnieniem, aby wspólnemi siłami bronić się przecw tej potędze przemysłowej handlowej Niemców, których część, zwana hakatystami, pragnie zguby ludu i imienia polskiego.

Pożądanych gości witano bardzo serdecznie. Nim weszli na plac wystawy, nader pięknie w języku czeskim przemówił do nich prezes wystawy ks. Lubomirski:

„Nietylko tradycyjne sympatye rodziny mej do Czech, lecz i własne wspomnienia za przebyty w młodości czas na akademii praskiej, czynią tę chwilę dla mnie tembardziej uroczystą, zwłaszcza, że są to wspomnienia miłego przyjęcia wycieczki polskiej do Czech w roku zeszłym i wrażeń doznanych przez moich ziomków, na każdym kroku objawami przyjaźni i braterstwa, za których dalszy ciąg uważamy dzisiejsze przybycie wasze, dające nam sposobność odwdzięczenia się według możności.

Przyjeżdżacie do nas w czasie, kiedy po kilkuletnim zakłóceniu stosunków normalnych, a więc w czasie powszechnego zastoju życia społecznego i ekonomicznego, doszliśmy o tyle do równowagi, że postanowiliśmy wziąć się do usilnej pracy, ażeby to, co ostatnie lata podkopały i zburzyły, zmartwychwstało, rozwinęło się i wzniosło.

Do tego konieczne było zdanie sobie sprawy z własnych sił — i tak powstała myśl urządzenia wystawy w Częstochowie, na miejscu, gdzie od niepamiętnych czasów Jasna Góra skupiała szlachetne porywy narodu, łączyła serca i błogosławiła dążenia.

Przeglądając skromne zasoby, zgromadzone na wystawie dzisiejszej, zechciejcież wziąć pod uwagę i warunki, w jakich ona powstała, i pobłażliwem okiem osądźcie to, czem zaczynamy nowy dzień pracy.

Tymczasem ufajcie w naszą uprzejmość i serdeczność przyjęcia, a jeżeli miejsce i warunki nie odpowiadają świetności powitania, jakie zgotować wam pragnęliśmy, to przyjmijcie je z takiemi uczuciami, z jakiemi wołamy: „Witajcie“!

Na to serdeczne powitanie również serdcznie odpowiedział prezydent Pragi, stolicy Czech, d-r Grosz, poczem goście udali się na zwiedzenie wystawy.

Pobyt braci Czechów w Warszawie można nazwać uroczystem świętem narodowem, powitanie nosiło cechy tak serdeczne, tak szczerze braterskie, że wzruszało najobojętniejsze serca. Wiele osób miało łzy radości w oczach. Bo ileż to węzłów serdecznych łączyło w przeszłości i łączy w teraźniejszości oba narody, Czechów i Polaków... Od nich przyszło do nas światło wiary świętej, od nich przyszli do nas święci zwiastunowie nowej

ery w dziejach naszych, Dąbrówka i Wojciech Święty. Nader serdecznie podejmowani w Warszawie, złożyli Czesi z prezydentem Pragi na czele wieniec u stóp pomnika Mickiewicza. Gorące, tchnące pragnienie szczęścia dla obu bratnich narodów, przemówienia, tak przedstawicieli czeskich, jak polskich, budziły w sercach nadzieję lepszego jutra. Czesi zwiedzili szczegółowo Warszawę, witani wszędzie serdecznie i owacyjnie. Zabrali z sobą z Warszawy przekonanie błogie, że nic nie może się odtąd stać nad Wisłą, coby żywo nie poruszyło wszystkich sfer społecznych nad Wełtawą. Dwie siostry, Praga i Warszawa, od tego czasu postanowiły iść we wspólnym uścisku przez życie, wspólnie się wspierać w złej czy dobrej doli. A to ma wielką wagę, wielkie znaczenie dla nas i dla całej słowiańszczyzny.

Kompania Wileńska. W połowie lipca bieżącego roku stosownie do zapowiedzi przybyła do Częstochowy kompania Wileńska. Przewodniczyli jej księża, mianowicie: poseł do Dumy państwowej Stanisław Maciejewicz, Kazimierz Kozłowski i Juljan Eydziatowicz. Prócz tych towarzyszyło pątnikom jeszcze trzech księży z Wilna.

Pielgrzymka liczyła do 2,000 ludzi, którzy we wzorowym porządku obdarzeni na dworcu przez częstochowian kwiatami, ustawili się szeregami w ulicy Dojazd i stąd, poprzedzeni przez różne bractwa i cechy, orkiestrę fabryki „Wulkan“ pod batutą p. Korzeniewskiego, oraz duchowieństwo, wyruszyli z pieśnią „Serdeczna Matko“ ku Jasnej Górze.

Przez całą drogę od stacyi kolei aż do świątyni Jasnogórskiej towarzyszyły pielgrzymom tłumy miejscowych mieszkańców, których liczba dochodziła do 20,000.

Na drugi dzień o godzinie 8 wieczorem w lokalu stowarzyszenia przemysłowo-rzemieślniczego, Częstochowianie podejmowali braci z nad Wilii i Niemna ucztą, podczas której przemawiali księża: kanonik Fulman i poseł do Dumy ks. Maciejewicz.

„Dla nas tu w Częstochowie kompanie, choćby najpiękniej zorganizowane, są rzeczą zwyczajną. Od rana do wieczora, gdy przyjdzie pora właściwa, podziwiamy malownicze kostyumy pątników z różnych okolic kraju. Ale to rzecz zwyczajna, powtarzająca się rokrocznie.

Jednak bywają momenty, w których dusza Polaka-katolika, najbardziej do tych objawów przywykła, ulega dziwnemu entuzyazmowi. Do tych chwil zaliczyć trzeba tę, w której przyjęliśmy ukochanych Litwinów-polaków u siebie.

Ja sam, patrząc na ten entuzyazm braci moich, byłem wzruszony. Trzeba bowiem wiedzieć, co znaczy dla naszego rzemieślnika i robotnika oderwać się od warsztatu i od pracy, by porzuciwszy zarobek, oddać swój czas i serce entuzyazmowi braterstwa.

Widzimy więc, jakie serdeczne uczucia wzbudził w nas wasz przyjazd, jeżeli spotkaliśmy was tak tłumnie. Pozornie tacyście dla nas ludzie, jak inni, ani procesya wasza nie była dla nas dziwną. Jeżeli serca zadrgały, to dlatego, że zjawił się tu gość, którego umiłowanie sięga w naszych sercach głębiej.

Jeżeli stowarzyszenie przemysłowo-rzemieślnicze zapragnęło serdecznie Was tu gościć, jest to dowodem, jak silnie się zrosły te dwie dzielnice w jedną istotę.

Żadne słupy graniczne i sztuczne zapory nie zdołały rozerwać serdecznego węzła między obu narodami.

Ja — pragnę być w tej chwili rzecznikiem tych bratnich uczuć. "

Potem przemówił ks. Maciejewicz temi słowy:

„Trudna jest tu pozycya moja, bo wzruszony jestem tem, co widziałem. To działa na naturę każdego, tembardziej na tego, kto żył. Ja sam dawniej błądziłem. Żyjąc zdala od fabrycznego ludu miejskiego, sądziłem, że ten zaślepił się w swej pracy, myślałem, że w huku młotów i dymie kominów ludzie kamienieją.

Potem dopiero, w Białymstoku, przekonałem się, że bywa, iż w tych warunkach człowiek zostaje człowiekiem, i pomimo zupełnego realnego zawodu pracy, tli się w nim jeszcze iskierka człowieczeństwa.

Tu przekonałem się teraz tembardziej, że wy nie zatraciliście, pomimo swej pracy w przemyśle, tych stron dobrych. I nie dziw, bo „Jasna Góra" opromienia was, a serca wasze nie są fabryczne, nie przemysłowe, lecz są ludzkie.

Nie sądźcie, żeśmy Wam dalecy, pomimo, że stanowimy odrębną prowincyę państwa. Pomimo że u siebie na Litwie języki mamy trzy: litewski, tak zwany „tutejszy" czyli białoruski i polski, to jednak duch w nas jeden i wiara jedna.

Okoliczności tak sprawiły, że w ciągu ostatnich lat 50 my częściej do Was, niż wy do nas przybywaliśmy.

Przytem zauważam, że wy przyjmujecie Litwinów więcej entuzyastycznie, niż my Was w Wilnie przyjąć umiemy; odczuliśmy to najlepiej wczoraj, kiedy spotkaliście nas tak, jak nie mogliśmy i prawa niemal nie mieliśmy się spodziewać. Ale Litwin w lasach i borach wychowany z natury swej jest inny, zresztą złożyły się na to liczne postronne przyczyny.

W sercach naszych jednak, w sercach przybyszów z Wilna i powiatów litewskich przyjęcie tutejsze znalazło duży oddźwięk, wywarło głębokie wrażenie — i zato, żeście nam je dali, serdecznie wam tu dziękują.

Od czasu, gdy ostatni raz spotykaliśmy się w Wilnie zmieniło się wiele. Teraz niebo nad nami się rozjaśnia, chmury zaczynają się rozsuwać.

Marya, która tylekroć okazywała nam swą łaskę pomagać nam będzie dalej do serdecznego połączenia.

Zachowując stale swą odrębność, my Litwini, jak w onych czasach, kiedy Jagiełło łączył się z Jadwigą, tak i teraz idziemy do Was z sercem, połączeni wspólną wiarą.

Pragnę, by dalej serca nasze trwały w tej jedności, żyjąc owem wspomnieniem, i by się dzisiejsze węzły jeszcze silniej zadzierzgnęły.“

Toastom i przemówieniom a wszystkim owianym szczerą serdecznością nie było końca.

Przy wyjeździe kompanii Wileńskiej z Częstochowy jeszcze większe tłumy Częstochowian żegnały i odprowadzały pątników na kolej.

Przy figurze Ś-go Prokopa pożegnał ich O. Pius, Paulin, przemawiając temi słowy:

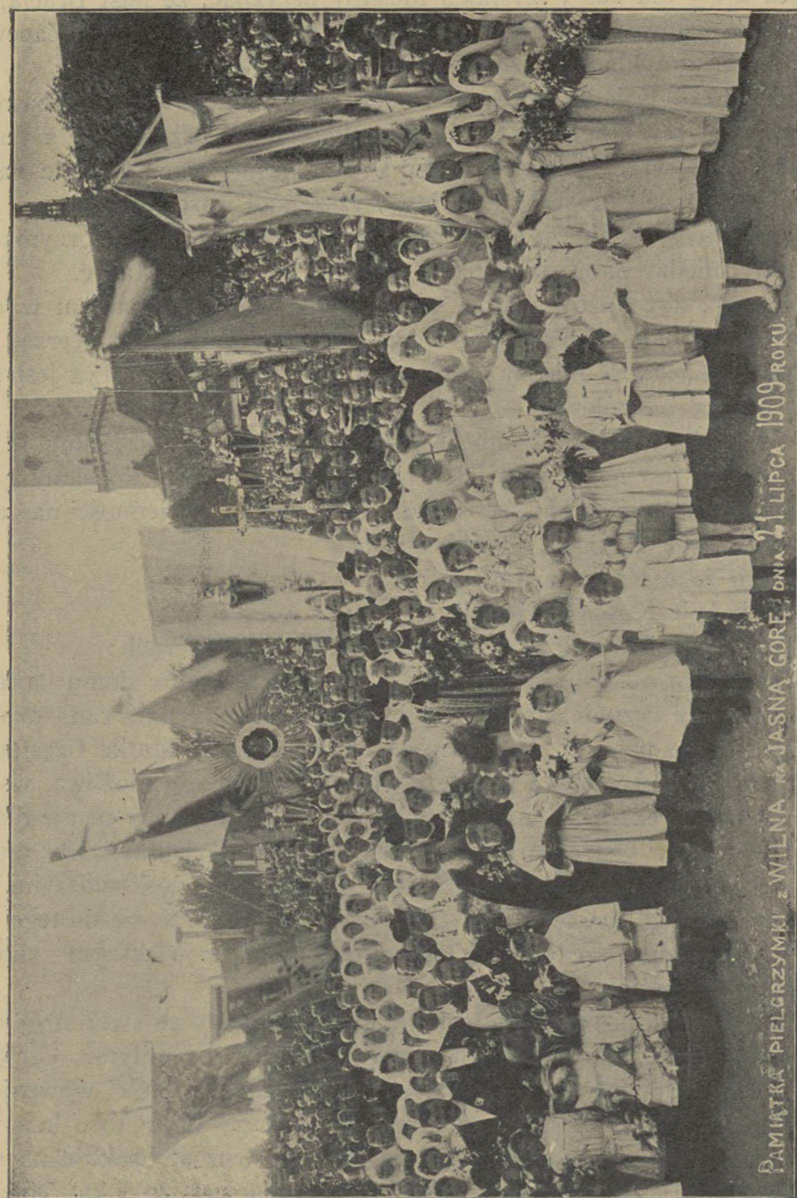
W Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego!

Kochani Bracia! Przed paru dniami wychodziliśmy na Wasze spotkanie, poprzedzani Krzyżem, chorągwiami, feretronami i liczną gromadą mieszkańców tej dzielnicy. Aniśmy się spodziewali widoku, jaki oczy nasze uderzył. W uroczystym Waszym pochodzie ujrzeliśmy zbitą masę Częstochowian, morze chorągwi i żywy szpaler mężczyzn, czuwających nad tem, aby nikt z Was nie doznał niewygody. Szereg naszych dziewic w bieli rzucał pod stopy kapłanów Waszych kwiaty. Wszystko to świadczyło o radości, z jaką witaliśmy tak pożądaną pielgrzymkę. A przyczyna tej radości jest zrozumiała: całe dziesiątki lat musieliśmy oczekiwać, aby zapory, tamujące nasze uczucia religijne zostały usunięte. Zapory te zostały zerwane. I oto już po raz trzeci mieliśmy szczęście Was tutaj przyjmować.

Polecając Was gościnności Częstochowian, nie śmiałem wyrazić, czegobym pragnął; nie miałem na myśli tych setek rodzin, które, zwłaszcza tu, pod Jasną Górą, żyją głównie z pielgrzymek, bo to byłoby uszczupleniem i tak niedostatecznych ich środków utrzymania: gościnności Waszej, wszyscy Częstochowianie, polecałem braci naszych z Litwy. Zrobiliście więcej, niż się spodziewałem. Słyszałem wiele od uczestników pielgrzymki o uprzejmości Waszej.

To było wywzajemnienie się za gościnność Waszą, Bracia kochani, w grodzie Gedyminowym nam okazaną dwa lata temu.

Przyczyną naszej radości i wesela jest również jeszcze i podobieństwo Jasnej Góry z Ostrą Bramą. Jasna Góra ma szczęście posiadać w swych murach skarb, który wszystkie serca tu przykuwa, przypominając jednocześnie, że jeśli pozostaniemy wiernymi Bogu i Maryi, ani Bóg, ani Marya Najświętsza nas nie opuszczą. Tym skarbem dla Litwy jest Ostra Brama. Jak na Jasną Górę, tak również do Wilna, do Ostrej Bramy przy-



(Fot. „Dzwonka Częstochowskiego").

Kompania z Wilna u stóp Jasnej Góry.

chodzą liczne pielgrzymki z Litwy, Rusi i Świętej Żmudzi — przychodzą, aby zaczerpnąć pociechy, śpieszą do Maryi po umocnienie.

Bez ujmy dla nas wszystkich musimy przyznać, że nasi Bracia, których teraz żegnamy, stanowczo górują nad nami pobożnością. Zapewniamy Ich, że ten przykład gorącości ducha zachęcił nas.

Czcigodny Ksiądz przewodniczący pielgrzymce wyraził obawę, że pielgrzymi litewscy mogą nas razić szorstkością, bo przychodzą z puszcz; tymczasem było wręcz przeciwnie. Ci Bracia nasi, żyjąc na łonie natury, zachowali szczerość i prostotę, a to jest wyższe nad wszelką kulturę.

Dziękujemy Wam za przykład i cieszymy się, że ta pielgrzymka zacieśni węzły między nami, jako jedną rodziną, która czci Maryę.

Chcemy, aby każdy z Was zaświadczył swoim pozostałym w domu braciom, że wszelkie rozterki, które dziś niektórzy wśród nas szerzą, ranią serca nasze, bo jedność między nami trwać powinna, póki Marya jest naszą wspólną Matką i Królową.

Wy kochacie Ostrą Bramę i Jasną Górę — i my kochamy je również, bo Marya jest naszą wspólną i jedyną Panią. I Was kochamy gorąco po katolicku. Pragniemy zawsze z Wami iść razem, bo w jedności nasza siła.

Niech żyje Królowa Ostrobramska!

Niech żyje Królowa Jasnogórska!

Niech żyje Kościół Katolicki!

Teraz podziękował ks. Eydziatowicz w tych słowach:

Chociaż przysłowie mówi: „Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej" tutaj doznaliśmy uczucia wręcz przeciwnego, bo kiedy dziś rano oznajmiłem pielgrzymom naszym, że mamy za chwilę opuścić Matkę Częstochowską, powstał taki jęk, płacz i żal, że gdyby to było rzeczą możliwą, wszyscy pragnęlibyśmy tu pozostać. Ale wracać trzeba. Przyszliśmy tu nie dlatego, abyśmy nie mieli w Ostrej Bramie swojej cudownej Opiekunki, lecz dlatego, aby wzbudzić w sobie większą wiarę, stać się lepszymi, doskonalszymi.

Gdy człowiek ma co u siebie, choćby najlepszego, to się do tego przyzwyczaja, to mu powszednieje. Tu modliliśmy się z większym zapałem, z większą gorliwością.

Dziękujemy za serdeczne przyjęcie i obiecujemy ze swej strony, gdy do nas przyjdziecie, uczynić Wam pobyt przyjemnym i miłym. Czcigodny Wasz Ojciec duchowny wyraził życzenie, byście choć w części wywzajemnili się braciom Litwinom za ich gościnność, okazaną Wam dwa lata temu.

Tymczasem muszę zaznaczyć, że słów mi wprost brakuje na wyrażenie gościnności Waszej—nie chcieliście brać zapłaty za lokal, chleb dawaliście nam całem sercem, dozorowaliście chorych, jak najczulsza matka, opiekowaliście się dziećmi, jak można najlepiej.

Niech Was Bóg błogosławi i zapłaci hojnie za nas!...

Podziękowanie od Kompanii Wileńskiej.

Nie mogąc inną drogą złożyć Wam uczucia naszej najszczerszej wdzięczność, najmilsi Częstochowianie, gdyż w chwili naszego odjazdu byliśmy zbyt wzruszeni, za pomocą Waszego „Dz. Częstochowskiego“ czynimy to z serca całego, na jakie tylko uczucie najszczersze zdobyć się jest w stanie. Dziękujemy Wam, jeszcze raz, najprzód, Przewielebni Ojcowie Paulini, za tyle rozczulających dowodów ojcowskiej dla nas dobroci i opiekę, z jaką nas powitaliście i otaczaliście w czasie naszego pobytu w Częstochowie; dziękujemy Czcigodnemu Duchowieństwu miejscowemu, Szan. Delegacyi Częstochowskiej, Szan. Komitetowi Opiekuńczemu, dziękujemy Wam wszystkim nie ustami tylko, ale najgłębszem i najserdeczniejszem uczuciem z serca, Wam wszystkim obywatelom i mieszkańcom drogiej Częstochowy, wszystkim zasyłamy bez wyjątku serdeczne staropolskie ,,Bóg zapłać“. Dziękujemy tobie, polski ludu, pracujący w fabrykach i w różnych rzemiosłach za okazane nam dowody bratniej miłości, tobie, ludu, który się nie zawahałeś opuścić pracę z własnym uszczerbkiem, aby tłumnie pośpieszyć na nasze spotkanie, nietylko dlatego, aby dłoń braterską podać na powitanie, ale z doraźną pomocą, której mieliśmy bardzo liczne dowody; jednym słowem za to, cośmy od Was wszystkich doznali od chwili przyjazdu — w czasie bytności w Częstochowie — aż do chwili wyjazdu, od Was, najmilsi współbracia, pracownicy kolejowi, urzędnicy, od Was najmilszych współrodaków, starzy i młodzi, przyjmijcie nasze najszczersze uczucia wdzięczności!..

I tobie dzięki, dziatwo Częstochowska, która w swej mierze przyczyniłaś się do uświetnienia naszego pobytu w Częstochowie, ty, która masz szczęście pod skrzydłem Maryi Jasnogórskiej, a naszej wspólnej Matki, rosnąć a serce swe i umysł w dobrem rozwijać, życzymy, abyś pod Wszechwładną Opieką Tej Ukochanej Matki wyrosła na dzielnych wyznawców Wiary naszej i na godnych przedstawicieli narodu.

Przyjmijcie zatem od nas, współbracia, to szczere i braterskie zapewnienie, że najmilsze w życiu wywozimy z sobą na Litwę z Częstochowy wrażenia, jako też niezatarte w sercach naszych wspomnienia.

Niech Wam wszystkim, za wszystko, cośmy od Was, najmilsi, doznali, Najświętsza Panna Jasnogórska stokrotnie z łaski Swej — zwróci!

„Bóg zapłać“.

W imieniu Czcigodnych Ks.Ks. przewodników Pielgrzymki Wileńskiej ks. pos. St. Maciejewicza, ks. J. Eydziatowicza, ks. W. Szyłkiewicza i innych, jakoteż w imieniu Wileńskich pątników, tych kilka uczuć powyższych, choć nieudolnie wyrażonych, ale ze szczerego serca pochodzących, składa *W. Slizień.*

List otwarty z Litwy.

Szczęśliwie wróciwszy do gniazd swych rodzinnych, do zajęć zwykłych — codziennych, pielgrzymi nasi z Wilna nietylko nie zapomnieli dni częstochowskich — obfitych w łaski Boże, a opromienionych bogato czystą miłością bliźniego, lecz owszem, im więcej oddala ich czas godowych wrażeń podniosłych, których świadkami byliśmy wszyscy, tembardziej wrażenia ustępują miejsca przeświadczeniu trwałemu, że nie snem i złudą, jeno rzeczywistym wybuchem szczerych, bratnich wynurzeń było wszystko to, cośmy, goszcząc u Was, widzieli i słyszeli, czegośmy od Was, Częstochowianie, doznali.

Tak jak Wyście nas witali, — i tak, jak Wyście nas żegnali, mogą to czynić tylko dzieci Jednej Matki — tylko bracia rodzeni.

Z serc przepełnionych wdzięcznością, rozrzewnieni do głębi duszy— wy wszyscy — i kapłani i zwykli pielgrzymi w one chwile ewangeliczne nie mogliśmy spokojnie bez łez i wzruszeń dziękować za tyle gorących objawów miłości serdecznej, rodzinnej.

Niechże dziś, po pewnem uspokojeniu, Kochany Redaktorze, za pośrednictwem Twego Szanownego Pisma podniesiemy głos nasz z dalekiej, lecz nie obcej Wam Litwy i raz jeszcze powiemy Wam, że z pamięcią o Jasnej Górze nieodłączną zostanie w myślach i sercach naszych pamięć i miłość braci naszych rodzonych — Was, Częstochowian zacnych.

Za waszą gościnę hojną, choć nie krezusami jesteście, za waszą opiekę wielce troskliwą, a bezinteresowną nad nami niech Wam Pani i Królowa Ojczyzny całej zapłaci.

My zaś wszyscy — więźniowie Miłości Waszej z brzegów Niemna i Wilii — ślemy Wam nasze polsko-litewskie życzenia.

Oby zakon Ojców Paulinów rósł w licznych a dzielnych pracowników apostolskich i raz wraz z przewielebnymi duszpasterzami miasta Waszego szerzył dzieło Boże na ziemi dla chwały Wiary i Ojczyzny naszej.

Obyście — Wy, ludzie zawodów i pracy, rozwijali pomyślnie rzemiosło, przemysł i handel polski, a idąc z postępem wynalazków, nieśli ziemi polskiej dobrobyt, sobie dostatek chrześcijański.

Młodzież wasza, uzbrojona wiedzą i cnotą, a oparta o obyczaj praojców, siły swe i zapał niech czerpie w przeszłości Kordeckich.

Wam zaś, Bracia Robotnicy, coście, opuściwszy fabryki, biegali, by nas pożegnać, życzymy z serca, aby Wam praca lekką i błogosławioną była, abyście nigdy nie zaznali głodu i bezrobocia niedoli!

A Wam wszystkim, Częstochowianie, jako rodzinie katolickiej pol-



Kompania z Inowrocławia, z Księstwa Poznańskiego, u stóp Jasnej Góry.

skiej wraz z pozdrowieniem raz jeszcze życzymy Opieki Maryi, jedności religijnej i trwałej zgody narodowej.

W imieniu pielgrzymów

Wilno, 27 lipca 1909 r.

ks. Juljan Eydziatowicz.
ks. St. Maciejewicz.

Kompania z Sarnowa dyecezyi Płockiej. W maju, bieżącego roku pomiędzy licznemi kompaniami przybywającemi na Jasną Górę, znalazła się i skromna bo z 200 osób składająca się pielgrzymka — która zwróciła naszą uwagę swym nastrojem pobożnym — pełnym ducha chrześcijańskiego i serdecznym stosunkiem do swego Pasterza, który przewodniczył tym pątnikom. Miłość parafian, objawiająca się w gorącem uwielbieniu swego ojca duchownego, jest dowodem przymiotów duszy owego kapłana.

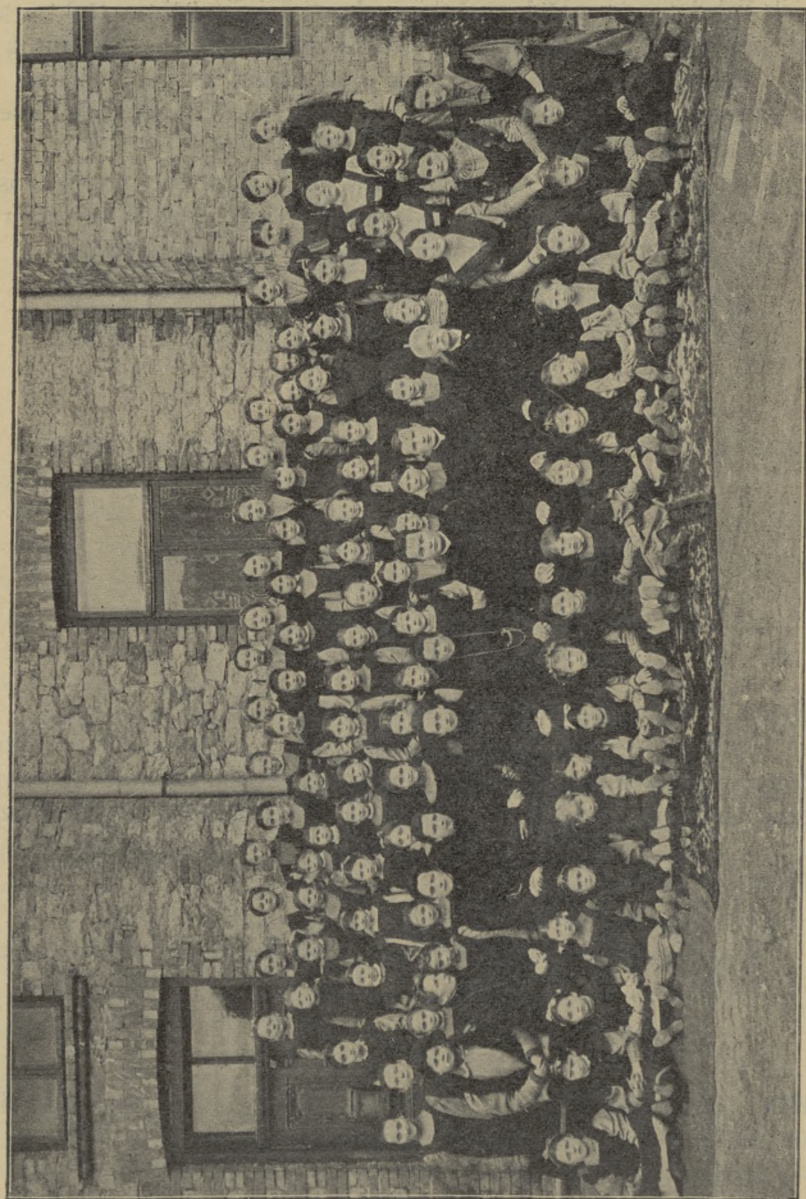
Ksiądz J. Werner, proboszcz parafii Sarnowskiej, od świtu do nocy spowiadał na Jasnej Górze swoje owieczki, bo nie mógłby tego znieść, aby ktokolwiek odeszedł z tego miejsca, nie oczyściwszy się z grzechów i nie przyjąwszy Komunii Ś-ej. Starał się również o to, aby każdy odbył drogę krzyżową i wysłuchał spokojnie Mszy Ś-tej, którą sam punktualnie odprawiał dla swych parafian o godzinie 8-ej. Przytem oprowadził ich wszędzie sam i pokazał wszystko, co było godne widzenia. Wdzięczni parafijanie ze czcią i przywiązaniem patrzyli na swego pasterza.—Niechże błogosławieństwo Boże spływa na tę parafię.

Kompania z Inowrocławia u stóp Jasnej Góry. W pierwszej połowie Lipca r. b. bawiła na Jasnej Górze kompania z Inowrocławia, złożona z kilkuset osób, pod przewodnictwem swego pasterza księdza Stankowskiego.

Kompania ta zawdzięczała swemu Czcigodnemu przewodnikowi doskonałą organizacyę i wzorowy, rzadko spotykany porządek. Każdy z pątników, z góry miał już zamówiony lokal i mógł nie tracąc czasu na poszukiwania, odrazu zająć się zwiedzeniem klasztoru, Częstochowy i praktykami religijnemi. Pątnicy zbiorowo zwiedzali pamiątki historyczne w skarbcu Jasnogórskim, spowiadali się, komunikowali i opuścili Częstochowę, pozostawiając jaknajmilsze wspomnienie.

Raz jeszcze należy podnieść zasługę Czcigodnego księdza Stankowskiego, bo tak zorganizowaną pielgrzymkę w naszej Częstochowie rzadko się widzi.

Pensya żeńska 7-mio klasowa p. Leonii Komar w Częstochowie. W roku 1907-ym została otwartą w Częstochowie pensya żeńska 7-mio klasowa. Początkowo otwarto tylko 2 klasy. Założycielka, pani Leonia Komar nie szczędząc trudów, starała się zakład rozwijać i można śmiało powiedzieć,



Uczennice pensyi żeńskiej 7-mio klasowej p. Leonii Komar w Częstochowie.

że usiłowania nie zostały bez skutków. Obecnie zakład składa się już z 4 klas i dwóch wstępnych, i liczy koło 140-tu uczennic. W pierwszym roku było ich zaledwie 30. Dobremu kierunkowi i poważnemu traktowaniu programu szkolnego zakład ten zawdzięcza szybki rozwój. Przyjmują się uczennice wyłącznie chrześcijanki. Język wykładowy polski, program zaś nauk jest gimnazyalny. Wysoko postawiona nauka języków obcych i wiedza przyrodnicza, chlubnie świadczą o kierunku szkoły.

Przy tem gimnazyum jest i internat, gdzie uczennice mają troskliwą, iście rodzicielską opiekę. Zakład ten naukowy prowadzony w duchu religijno-narodowym ze wszech miar zasługuje na gorące poparcie.



Z anegdotek tureckich.

I.

Hodża w nocy słyszy głośny spór dwóch ludzi przed sienią.

— Wstawaj — woła do żony — zapal świecę i zobacz, o co im chodzi!

Żona wstać z łóżka nie chce, wtedy on okręca się kołdrą i wychodzi. Nieznajomi, spostrzegłszy go, ściągają z niego kołdrę i uciekają z całych sił.

Po chwili powraca.

— O co im chodziło? — pyta żona.

— Spierali się o kołdrę, ale jak ją z pleców moich zdarli, przestali się o nią kłócić.

II.

Ktoś przyjechał z wizytą na noc do Hodży. Zagasił świecę i zabierał się do spoczynku. Za chwilę jednak zawołał:

— Hodżo, podaj mi świecę, stoi po prawej twojej ręce.

— Czyś ty oszalał? — zawołał Hodża — ciemno jest w pokoju, czy podobna więc widzieć, która jest prawa ręka, a która lewa?



Szanujmy więcej nasz język! W „Katoliku“, piśmie wychodzącem na Śląsku, czytamy następującą odezwę do Górnoślązaków:

Nie jeden, ale tysiące głosów podnoszą się ciągle, że ten piękny nasz język polski, to niby słońce, które wyparte okiennicami obłudy polakożerczej ze szkół, z urzędów, ze sądu, powinno świecić wspaniale w rodzinie, w życiu towarzyskiem. Wielu młodych ludzi, niestety, zdaje się nie chce słyszeć tych głosów rozumnych, woli popisywać się niemczyzną i tak coraz głębiej przesiąkać germanizmem.

Kiedyż wreszcie zrozumiemy, że tylko zupełna odrębność narodowa może nas uchować przed powietrzem morowem, czyhającem tu na nasz byt narodowy? Kiedyż wreszcie duch polski zapanuje, kiedyż ustąpi ze serc naszych wreszcie wiara w wyższość obcej kultury? Poznajmy naszą piękną, zdrową kulturę, naszą śliczną literaturę, poznajmy nasze, a nie będziemy chwalić obcej, niemieckiej nadkultury!..

Nie strójmy się w blichtr cudzoziemski, bo zaiste wyglądamy w nim jako błaźni w pstrych łachmanach z dzwoneczkami przy kapeluszu! A nietylko nie rozmawiajmy bez koniecznej potrzeby po niemiecku, ale nadto nie zaprawiajmy naszego pięknego języka brzydkiemi dodatkami szwabskiemi. Nasza mowa ojczysta, to czysta krynica, a my do tego czystego źródła tak często lekkomyślnie rzucamy bryły błota obcego, mącąc i brudząc czystość jego prawdziwą. Język niemiecki do twarzy jest Niemcom, dla nich on jest miły i drogi; nas, Polaków, on szpeci, szpeci nas stokroć gorzej dlatego, że gwałtem się go nam narzuca.

Biada, po trzykroć biada tym, którzy burzą tę twierdzę, zbudowaną nam przez Boga z mowy ojczystej; biada tym rodzicom, którzy nie nauczyli dzieci swych kochać mowy ojczystej.

Tu są polskie kraje, tu rozbrzmiewać powinien polski język. Mówmy zatem wszędzie śmiało po polsku. Nie wstydźmy się; nie obawiajmy się; nie obracajmy się ciągle trwożliwie na wszystkie strony, gdy wymówić chcemy słowo „Polak“ i t. p. Niestety, spostrzegliśmy to już nieraz nawet u osób, po którychbyśmy się tego bardzo mało spodziewali. Dzieje się to zapewne odruchowo, mimowolnie, ale to tem smutniej, bo to świadczy, że jakiś duch niewolniczy przeniknął pewne osoby już do szpiku kości. Baczmy na to, by ten duch niewolniczy nie owładnął nami wszystkimi. A więc zawsze i wszędzie na pierwszem miejscu język polski, na drugiem i trzeciem jeszcze znowu język polski.

„Piękna jest nauka języka obcego,
Lecz wstyd i hańba nie umieć swojego“.

Wizytacya pasterska na Syberyi. Dzienniki syberyjskie przynoszą ciekawe szczegóły z wizytacyi J. E. ks. biskupa Cieplaka, kościołów katolickich w Tomsku i Krasnojarsku. Wizytacya ta, pierwsza na Syberyi, była wedle orzeczeń miejscowych organów, niezwykłem i podniosłem świętem dla miejscowej ludności katolickiej, to też brali w niem udział wszyscy, począwszy od dzieci, aż do sędziwych starców, zesłanych w roku 63. Na wieść o przyjeździe biskupa-Polaka zjeżdżano do Tomska o 200 wiorst i dalej.

Nastrój świąteczny udzielił się ludności na kilka dni przed przybyciem biskupa, a chwili przyjazdu oczekiwali wszyscy w radosnym niepokoju i trwodze. Ludność katolicka w Tomsku święciła dzień wielkiej radości i niezwykłych wzruszeń.

Już od wczesnego rana, w dzień przyjazdu, niewielki kościołek w Tomsku i przyległy ogród przepełniony był tymi, którzy lata oczekiwali tej radosnej chwili. Na twarzach obecnych, w chwili, gdy biskup przekroczył próg świątyni, malowało się silne wzruszenie, wielu płakało.

Jego Ekscelencya, zamieniwszy wizyty z gubernatorem i biskupem Meleteuszem, zwiedził ochronkę dla dzieci, oraz szkołę przy katol. Tow. dobroczynności i przytułek dla starców. Ztąd udał się do uniwersytetu i instytu technologicznego, wieczorem zaś odwiedził szpital i kolonie letnie dla dzieci z przytułku. Dnia 30 maja inteligencya miejscowa podejmowała Drogiego Gościa obiadem, który zgromadził przeszło 70 osób. W czasie uczty Jego Ekscelencya w serdecznem przemówieniu dziękował obecnym za przyjęcie, poczem zwróciwszy się do obecnych rodziców, mówił o wychowaniu dzieci w miłości i przywiązaniu do kościoła, wiary i ojczyzny.

Podczas bytności księdza biskupa odbyło się zebranie miejscowej kolonii polskiej w kwestyi budowy nowego kościoła w Tomsku. Zebraniu przewodniczył Jego Ekscelencya; postanowiono, po długiej dyskusyi, przystąpić do budowy świątyni, a jakkolwiek środki, przeznaczone na ten cel,

są obecnie bardzo jeszcze szczupłe, kolonia zamierza brakującą sumę zebrać drogą składek i ofiar.

Wieczorem tegoż dnia Jego Ekscelencya udał się w dalszą podróż na Wschodnią Syberyę i Sachalin. Po mowie pożegnalnej, wygłoszonej do tłumnie zebranych parafian, biskup udał się na cmentarz katolicki, zkąd punktualnie o godz. 9-ej wieczorem znalazł się na dworcu kolejowym. Oczekiwały go tłumy ludu. Wagon, w którym jechał, zarzucono kwiatami. Jego Ekscelencyi ofiarowano prześliczną tacę srebrną z wyrytym widokiem kościoła i stosownemi napisami.

Chwila odjazdu zbliżała się szybko... Po drugim dzwonku Jego Ekscelencya wszedł do wagonu. zkąd raz jeszcze, wzruszony, dziękował obecnym za serdeczne przyjęcie, wyrażając nadzieję, że przybędzie jeszcze w te strony.

Trzeci dzwonek i pociąg powoli rusza... Obecni klękają, przyjmując błogosławieństwo Pasterza, który żegna klęczący w skupieniu tłum słowami modlitwy i otuchy.

Dnia 1-go czerwca miejscowy proboszcz w Tomsku otrzymał depeszę od księdza biskupa, w której tenże wyraża raz jeszcze szczere podziękowanie za serdeczne przyjęcie, jakiego doznał w Tomsku.

Z prywatnej korespondencyi z żalem dowiadujemy się, że polsko-litewska korporacya studencka w Tomsku w uroczystym obchodzie wizytacyi nie brała żadnego udziału. Czyżby wewnętrzne niesnaski w korporacyi nie pozwoliły wziąć Polakom i katolikom udziału w tej pierwszej wizytacyi biskupa i Polaka na Syberyi?

Wizytacya w Krasnojarsku miała ten sam podniosły i uroczysty charakter niezwykłego dla tamtejszych Polaków i katolików święta. Po uroczystem nabożeństwie, które zgromadziło tysiące wiernych, odbył się na cześć Dostojnego Gościa obiad. Nastrój panował poważny, zarazem jednak nadzwyczaj serdeczny.

Dnia 8-go czerwca Jego Ekscelencya dopełnił w miejscowem więzieniu Sakramentu Bierzmowania, do którego przystąpiło 20 aresztantów katolików. Następnie około godz. 11-ej rano Dostojny Pasterz odprawił uroczyste nabożeństwo żałobne za duszę ś. p. biskupa A. Wnukowskiego, poczem przemówił do zebranych, żegnając ich serdecznemi słowy. Wzruszenie obecnych było wielkie; chwilami rozlegał się głośny płacz. Kościół i cmentarz były literalnie zapchane głowa przy głowie.

O godz. 2-ej po południu Jego Ekscelencya przybył na dworzec. Oczekiwały tam już tłumy; wiele pań przybyło ubranych biało, z bukietami w ręku. W chwili, gdy biskup wysiadł z powozu, otoczyły Go dziewczęta,

sypiąc Mu kwiaty pod nogi. Zewsząd wyciągały się ręce z bukietami kwiatów. Biskup rozdawał obrazki święte.

Po drugim dzwonku Dostojny Pasterz zaczął błogosławić obecnych, którzy klęknęli. Jeszcze chwila skupionej ciszy i oto pociąg ruszył, by zginąć w siniejącem mgłami oddaleniu. Tłum w skupieniu i powadze rozszedł się ze stacyi...

Jego Ekscelencyę do stacyi „Jenisiej" odprowadzili: ks. Światopełk-Mirski z Krasnojarska, Demikis z Tomska, oraz ks. Szwaras. Prócz tego Dostojnemu Pasterzowi w wędrówce towarzyszy sześciu kapłanów.

„Hołd Prusaków górnośląskich". „Prusacy górnośląscy" składają hołd grobom królów polskich w Krakowie! "— woła w najwyższem rozdrażnieniu berlińska „Vossische Zeitung", trzy tysiące takich gości witał Kraków dnia 28 i 29 maja 1909 roku (w Zielone Świątki). Orkiestry sokolskie grają im „Jeszcze Polska nie zginęła", a ci Prusacy, uszykowani w bataliony, idą przed pomnik Mickiewicza i uchylają przed nim czoła. Mówcy polscy przemawiają do nich, zohydzając pamięć Bismarcka, mówią o odbudowaniu ojczyzny, zachęcają do walki.

Ci „Prusacy górnośląscy"—to poprostu Polacy ze Śląska Górnego, odbywający tradycyjną wędrówkę zbiorową do Galicyi.

Pieni się i zgrzyta „Vossische Zeitung", widząc tych „oderwanych od Polski jeszcze w roku 1159 Prusaków górnośląskich", przed pomnikami naszych wieszczów kornie pochylających czoła, w skupieniu ducha zstępujących do grobów królewskich, lub z zapałem oklaskujących przemówienia o wspólnem niebezpieczeństwie i wspólnej ojczyźnie, „tej samej ojczyźnie, do której Ślązacy od 750 przeszło lat nie należeli".

I ci oto „Prusacy górnośląscy", wywodzi dalej hakatystyka z Berlina, radzili tam, nad grobem Kościuszki, o dalszym kierunku walki z nawałą niemiecką, w cieniu orła białego marzyli o „obronie od czarnej bestyi-pruskiego ptaka.

Przywdziano przybyłym z Górnego Śląska barwy narodowe, a nawet niektórzy mieli na sobie orzełki polskie. (Co za okropność! — Przypisek Red.). I dzieje się to w samym Krakowie, który nawet nie był miastem stołecznem królów polskich w owych czasach (1159), kiedy Śląsk został od państwa polskiego oderwany.

„Te zakusy przeciwko państwu niemieckiemu znajdują przytułek w kraju, związanym z nami ścisłym sojuszem i dzieje się to wszystko całkiem otwarcie, na placach publicznych".

Jak długo jeszcze cierpieć będzie podobny stan rząd państwa niemieckiego? Wszak jest to ze strony niemieckich poddanych zdrada?

Mamy więc gotowe oskarżenie i gotowe środki.

W podobny sposób podburza pismak z „Vossische Zeitung“ rząd do energicznego wystąpienia przeciwko pielgrzymkom do Krakowa.

Dziwna logika mędrka z „Vossische Zeit.“ Czy ktoś już słyszał, żeby przez ucisk i prześladowanie zaskarbił sobie miłość prześladowanego? Płonne są nadzieje hakatystów, bo żandarm pruski i pruskie więzienia nie nauczą Prusaków górnośląskich kochać systemu hakatystycznego.

Do Krakowa i do rozmaitych miejscowości Galicyi wyjeżdżają już od lat kilkuset Górnoślązacy w Zielone Śwątki, aby pomodlić się w tamtejszych pięknych kościołach, aby odetchnąć powietrzem, nie zakażonem hakatyzmem. Tych wycieczek nie uniemożliwią narzekania hakatystów, a policya pruska nie ma prawa zakazać Górnoślązakom wyjazdów do Krakowa. Wycieczki będą się odbywały i na przyszłość i to tem liczniejsze, o ile ucisk i prześladowanie Polaków w państwie niemieckiem będzie ostrzejsze.

Konsekracya świątyni. W dniu 27 z. m. J. E. ks. biskup Żdzitowiecki, w asystencyi kilkudziesięciu kapłanów, przybyłych z Włocławka i parafij sąsiednich, dokonał konsekracyi nowej świątyni w Przedczu, dyecezyi kujawsko-kaliskiej, wzniesionej na miejscu dawnej murowanej w XVI w., a tak zrujnowanej, że nie nadawała się do konserwacyi. Proboszcz miejscowy, ks. Józef Ornatowski zwrócił się do budowniczego p. Dziekońskiego, który zaprojektował całkowicie rozebranie starego kościoła, oraz budowę nowego na wzór świątyni św. Anny w Wilnie. Nowy kościół jest o 3-ch jednej szerokości nawach halowych, posiada 2 wieże. Wnętrze świątyni imponujące, a zwłaszcza sklepienie gwiaździste. Ołtarz wielki wspaniały; kosztował 4,600 rb.; posadzka z terrakoty, ambony jeszcze niema; na chórze znajdują się organy pozostałe ze starego kościoła. Koszta budowy wyniosły tylko 46,000 rb., dzięki dobrej administracyi przy budowie ks. proboszcza. Jednocześnie z budową nowej świątyni, cmentarz procesyjny, znacznie rozszerzony, okolono murem, od frontu zaś dano kratę żelazną na podmurowaniu. Cmentarz grzebalny, obszaru 4-ch mórg, opasano wałem z kamienia polnego. J. E. ks. biskup, po dokonaniu konsekracyi, wejrzawszy w tak dodatnio prowadzoną gospodarkę ks. Ornatowskiego, który dopiero lat 7 zarządza parafią w Przedczu, a tyle zdziałał, kilkakrotnie składał mu podziękowanie i wobec kleru, oraz licznie zebranych parafian mianował go kanonikiem.

O szkółki polskie. Liczba spraw o szkółki polskie na Litwie i Rusi wciąż wzrasta. Kijowski sąd okręgowy na sesyi wyjazdowej w Radomyślu rozpatrywał aż trzy sprawy o takie szkółki.

W pierwszej sprawie zasiadał na ławie oskarżonych proboszcz bronisławski, ksiądz dziekan Idźkowski, oskarżony o otwarcie we wsi Nehre-

bówce szkoły, i—w charakterze nauczyciela Władysława Samsonowicza, nie mającego świadectwa na prawo nauczania. Obronę wnosił we wszystkich sprawach adwokat Władysław Łukaszewicz z Kijowa. W pierwszej sprawie obrońca wykazywał, że ksiądz nie stoi w żadnym związku z nauczaniem, a na pogłoskach niepodobna opierać oskarżenia. Następnie wykazywał obrońca, że nauczania tego niepodobna nazwać szkołą, gdyż akt oskarżenia konstatuje, że uczyło się około 10 dzieci. Ministeryum zaś oświaty, wnosząc do drugiej Izby państwowej odnośny projekt prawa, określiło, że pod szkołą rozumieć należy więcej, niż 10 dzieci. Jakkolwiek prawo to nie zyskało mocy obowiązującej z powodu rozwiązania Izby, niemniej jednak jest to rodzajem wskazówki, w braku innych, dla władz rosyjskich.

Sąd uniewinnił ks. Idźkowskiego. Wład. Samsonowicza skazał na 25 rubli kary, a szkołę kazał zamknąć.

W drugiej sprawie występował również jako oskarżony ten sam ksiądz Idźkowski i nauczyciel Stanisław Samsonowicz, za takąż działalność we wsi Hucie Zabiełockiej. W tej sprawie zapadł taki sam wyrok, co i w poprzedniej.

W trzeciej sprawie występowali jako oskarżeni proboszcz kościoła w Malinie ks. Bieniecki i obywatel Wacław Bylina pod zarzutem otwarcia we wsi Ostrowiu za wspólnem porozumieniem szkoły bez pozwolenia władz, popełniwszy uprzednio cały szereg czynów przygotowawczych, jako to: wzniesienie budynku szkolnego, spisanie i przyjęcie dzieci i t. p.

Obrońca dowodził, że oskarżeni, przystępując do budowy szkoły, złożyli równocześnie podanie do władz o pozwolenie na otwarcie szkoły, że ks. Bieniecki, gdy to pozwolenie nie nadeszło, nie brał już udziału w otwarciu szkoły.

Sąd skazał ks. Bienieckiego i p. W. Bylinę na 5 rb. każdego i rozkazał szkołę zamknąć.

List rozpaczy z zesłania. Rozpaczliwy list zesłańców z gub. archangielskiej, drukuje „Dzien. Kijowski". Przytaczamy go w całości, jako ciekawy dokument:

Kochani Polacy, proszę was, przeczytajcie do końca, ten pisany w chwili utrapienia tak fizycznego, jak i moralnego, list. Myślę, że wzbudzę w was, kochani czytelnicy tego szanownego pisma, litość i współczucie. Otóż my trzej, pochodzący z gub.: kijowskiej, warszawskiej i wołyńskiej, zostaliśmy zesłani do głuchej, leżącej na samej północy wioski. Stoi ona na Kamiennej górze, zabudowania są drewniane, pełne różnych nieczystości. Pluskwy, prusaki i t. d. w wielkiej liczbie nie dają spać, nie pomagają żadne środki, pomieszkania zimne, morski wiatr północny dmie w dzień i w nocy

przez szpary, rozdrażniając do ostateczności. Dokoła wsi ciągną się na setki wiorst trzęsawiska, na których rośnie niewielka jedlina; na kamiennych pagórkach rośnie jałowiec, żadnych kwiatów tutaj niema, wodę pijemy z rzeki, czuć ją mchem i ma ona kolor czerwono-żółty. Jako pokarm służą nam przeważnie ryby, które nam wprawdzie obrzydły wreszcie.

Cebuli, przypraw kuchennych, słoniny, tu całkiem niema. Kto chce tę przyprawę mieć, musi sprowadzać z naszych stron.

Naród tu jest Korelski, zmieszany z Pomorami, narzecze mają swoje własne, podobne niby do fińskiego. Żadnych znajomości nie prowadzimy i niema z kim się znajomić. Trzy długie lata mamy przesiedzieć w tej niedźwiedziej stronie, trzeba te trzy lata jakoś wytrzymać; jedynymi przyjaciółmi mogą być tu książki, no... lecz ich nie mamy. Coś niemożebnego, ani gazet, ani książek... żyjemy tu jak Robinzon na swej wyspie. Takie życie nie do wytrzymania.

Trzeba szukać sposobu ratunku i pewnego dnia — zebrawszy się, uradziliśmy posłać do redakcyi list do wydrukowania i prosić szanownych czytelników i czytelniczek, by nie odmówili naszemu rozpaczliwemu jękowi, wniknęli w nasze położenie i pomogli nam literaturą. Jednakowo potrzebne są dzieła naukowe, historyczne, powieści, opowiadania i romanse. Za wszystko, co nam przyślą, będziemy wdzięczni.

Proszę przysyłać pod następującym adresem: Archangielska gubernia, Kempski powiat, wieś Pongama dla Brunona Włodzimierzowicza Oparycz-Łosickiego.

Jakób Stasiak, Brunon Oparycz-Łosicki, Marcin Krynicki.

Żywcem zagrzebany. W gruzach tunelu Bruggenwald, w Szwajcaryi, znajdował się robotnik Pedersoli, który tam pracował w chwili, gdy tunel ów zawalił się we wtorek, dnia 22 czerwca, a kiedy robotnicy włoscy przystąpili do usuwania gruzów i wydobywania zwłok, usłyszeli jęki i wołanie o pomoc, dobywające się ze zburzonego chodnika. Zdziwienie ich było tem większe, że rzeczoznawcy już w kilka dni po katastrofie orzekli, że zasypane ofiary zginęły bezwarunkowo skutkiem uduszenia się, o ile nie zostały zabite natychmiast. Robotnicy weszli do małego chodnika ratunkowego, który został po katastrofie utworzony, i zapytali, kto woła. Na to otrzymali odpowiedź, daną przytłumionym głosem: „Giovanni Pedersoli“. Było to o godz. 2-ej po północy z dnia 29 na 30 czerwca. Na miejsce pośpieszył wezwany inżynier, który objął kierownictwo nad obrotami ratunkowemi. Wymieniony już chodnik ratunkowy zarzucono i zaczęto kopać inny. W ciągu 12 godzin wykopano chodnik pod ziemią, mający 2.8 metra długości, a 60 centimetrów wysokości.

Dnia 30 czerwca dawał Pedersoli jeszcze wyraźnie odpowiedź na wołania. Opowiadał, że nie jest raniony, że może poruszać się na przestrzeni około 3 metrów i że prawdopodobnie rumowisko zatrzymało się na belkach, tworząc rodzaj sklepienia. Brakuje mu pożywienia i cierpi głód. Pragnienie gasi w ten sposób, że wysysa wodę z odzieży przemoczonej sączącą się z ziemi wilgocią. Robotnicy, pracujący nad niesieniem ratunku zasypanemu, zaopatrzeni byli w rury, za pomocą których mieli Pedersoliemu podać żywność, gdy się do niego zbliżą na mniejszą odległość. Telegram z Zurychu, ogłoszony przez dzienniki niemieckie, a mający datę dnia 1 lipca, donosił, że Pedersoli wydostanie się prawdopodobnie na światło dzienne nazajutrz, to znaczy, że w razie sprawdzenia się tego obliczenia, powinno to było nastąpić d. 2 lipca. Chodnik ratunkowy wybito na długości 8 metrów i do zasypanego było już bardzo blizko.

Robotnik Pedersoli został 4 lipca z pod gruzów wydobyty. Znajdował się on pod ziemią 10 i pół dnia. Cierpiał ogromnie wskutek głodu, a pragnienie zaspokajał wodą, przedostającą się przez ziemię.

Po wydobyciu, Pedersoli, który był ogromnie osłabiony, prosił o położenie go do łóżka. W mieście zbierają składki na niego i na tych, którzy ratowali go z narażeniem własnego życia.



Nowiny polityczne.

Proces o tajne związki. Niedawno w Katowicach toczył się dwudniowy proces 56 członków Tow. młodzieży katolickiej pod wezwaniem św. Stanisława Kostki w Rudzie, oskarżonych o ukrywanie celów i działalności Towarzystwa przed władzą. Proces ten był jednak ciekawy w całym swoim przebiegu, dlatego najciekawsze jego chwile streszczamy. Świadków powołano 27, między nimi 5 księży: oskarżonych bronili adwokaci: Kobyliński z Zaborza, Wolny i dr. Różański z Gliwic.

Na początku rozpraw odrzucił sąd wniosek adwokatów o powołanie jako rzeczoznawcy przy tłómaczeniu z języka polskiego na niemiecki prof. d-ra Brücknera z Berlina. Przesłuchiwania świadów trwały 3 godziny.

Przewodniczący sądu Lendel stawiał oskarżonym takie pytania, jak np. czy w Towarzystwie wygłaszano wykłady z polskiej historyi i literatury, czy wzmacniano poczucie narodowe, czy członkowie należeli do Towarzystw niemieckich, czy nie sławiono królów polskich, czy nie podnoszono tego, co styczność ma z prusactwem?

Oskarżeni twierdzili, że głównie śpiewali pieśni religijne, ale także i wesołe, jak: „Idzie Maciek przez wieś!“, „Niema to jak kawalerski stan“, „Hej, górnicy!“

Rewizyę w Rudzie odbywał urzędnik policyjny z Bytomia, który przesłuchiwany był jako drugi świadek. Zeznał, że podczas rewizyi u bibliotekarza znalazł bardzo wiele książek do czytania, książkę protokółową, kartę sokolską i t. p.

Ks. Ogan zeznaje, że był na czterech posiedzeniach, ale nie zauważył, żeby o polityce mówiono lub wygłaszano wykłady treści politycznej.

Przewodniczący: Czy wzmacniano poczucie narodowe polskie? Czy pracowano nad tem, żeby członkowie byli Polakami?

Ks. Ogan: Nie.

Przewodniczący: Czem tłómaczyć, że Towarzystwo obrało sobie za patrona właśnie św. Stanisława Kostkę?

Ks. Ogan: Bo ten Święty jest patronem młodzieży. U Hiszpanów jest takim patronem św. Aloizy, u Niemców św. Jan Berchmans, u Polaków św. Stanisław Kostka.

Przewodniczący: Ale czemuż Towarzystwo w Rudzie wybrało sobie za patrona właśnie świętego Stanisława, a nie świętego Jana Berchmansa?

Ks. Ogan: Tego nie badałem.

Nastąpiło przesłuchiwanie ks. kapelana Daneckiego.

Przewodniczący: Czy nie uprawiano w Towarzystwie polityki przez wykłady z historyi, literatury polskiej?

Ks. Danecki: Nic takiego nie robiono, coby się sprzeciwiało prawu, lub było karygodne.

Przewodniczący: Śląsk od tylu wieków do Polski nie należy. Czemu w Towarzystwie po niemiecku nie obradowano? Czy pieśni, deklamacye miały charakter antypruski lub antyniemiecki?

Ks. Danecki: Nie.

Lekarz w Rudzie Fabian nie znał dążności Towarzystwa, jak zeznał.

Następnie odczytano protokóły Towarzystwa, od roku 1904 począwszy.

W drugi dzień rozpraw wezwany został komisarz policyjny Mader z Zabrza. Zeznał on, że słyszał deklamacye polskie. Przystąpiono znowu do czytania protokółów. Podniesiono z nich pieśni i deklamacye: „Hakatyści i socyaliści“. W wierszu tym zaznaczono: że hakatyści i socyaliści odbierają nam Polakom wiarę ś-tą. Dalej deklamowano: „Czy znasz tę zie-

mię?", „Stańmy, bracia, wraz!" (pieśni te zakazane są przez izbę karną w Toruniu), „Długo Śląsk nasz ukochany" i t. d.

Pierwszy prokurator Krause powołuje się na mowy ks. Bülowa i innych ministrów o agitacyi wielkopolskiej. Twierdzi, że Polacy dążą do wzmocnienia poczucia polskiego, do wytworzenia przeciwieństw między Polakami a Niemcami, do podburzenia ludności przeciw Niemcom. Jego mowa zdradzała ogromną nieświadomość rzeczy i przeszłości polskiej. Mimo to z ogromną śmiałością mówił o przeszłości polskiej i wniósł wreszcie dla 15 oskarżonych o 6 tygodni więzienia, dla 10 o 3 tygodnie, dla reszty o uwolnienie.

Adwokat Wolny w znakomitej mowie zbijał punkt po punkcie prokuratora, dowodząc, że Polacy święty mają obowiązek pielęgnować swą narodowość, że natomiast ani myślą o oderwaniu polskich prowincyj od Prus z mieczem w dłoni.

Sąd po półtoragodzinnej naradzie ogłosił wyrok, uwalniający wszystkich oskarżonych od winy i kary i nakładający wszystkie koszta procesu na kasę państwową.

„Jeż Polski". (Wilhelm II-gi o Polakach.). Niejednokrotnie już prasa polska, a także francuska i angielska, wyrażała przekonanie, że nowy kurs przeciwpolski w Rosyi ma swoje źródło w Berlinie. Utrzymywano nawet w formie dość kategorycznej, że w reakcyi rosyjskiej, skierowanej przeciw Polakom, odegrała rolę wybitną, a może nawet rozstrzygającą, osobiste zdanie cesarza Wilhelma.

Prasa niemiecka zaprzeczyła autentyczności tych pogłosek, a w pewnych kołach opinii polskiej, przywłaszczającej sobie zawsze monopol najdokładniejszej znajomości wszelkich sprężyn polityki, zjawiły się również uśmiechy ironiczne, jakby bagatelizujące rzekome wpływy Berlina.

Wobec tego oświadczamy niniejszem, w formie stanowczej, na mocy najwiarogodniejszej informacyi, że cesarz Wilhelm II, podczas pobytu swego na yachcie Cesarskim „Sztandart"—poruszył dwukrotnie w rozmowie z prezesem ministrów, Stołypinem, sprawę polską, a uczynił to w duchu dla nas nieprzychylnym.

Rozmowa odbyła się na pokładzie. Cesarz niemiecki, złożywszy powinszowanie Stołypinowi z powodu ogólnego kierunku polityki wewnętrznej, którą nazwał „ostrożną i roztropną", wyraził się następnie ze szczególnem uznaniem o jego polityce względem polaków.

— *Jest to naród agresywny,* — *rzekł* — *z którym w interesie państwa należy postępować bardzo surowo.*

Ale na tem cesarz Wilhelm nie poprzestał. Uważał snadź za potrzebne jeszcze silniej podkreślić sąd o Polakach wobec premjera rosyjskie-

go, bo podczas obiadu zaczął znowu mówić do Stołypina o sprawie polskiej I w toku dyskusyi wyraził się w słowach następujących:

— *Zbliżać się do Polaków nie można z gołą ręką, ale zawsze z kijem, bo inaczej ukłują najeżonemi kolcami.*

Powtarzamy raz jeszcze, — pisze „Kuryer Warsz.“, że informacye powyższe pochodzą ze źródła zupełnie wiarogodnego. Przytaczamy je bez komentarzy.

Mowa posła ks. Maciejewicza, wygłoszona w Dumie dnia 8 czerwca r. b.

(Ciąg trzeci). Oprócz aparatu państwowego istnieje wszak jeszcze władza cerkiewna i działalność religijna. Nie twierdzę, ażeby duchowieństwo prawosławne zaniedbywało obowiązków swego powołania. Ojcowie duchowni pracują i wywierają wpływy na swoją owczarnię. I my nic przeciwko temu nie mamy, nigdyśmy przeciwko nim za to nie powstawali. Przyjemną, czy nieprzyjemną dla nas jest ich działalność, to sprawa inna, lecz my rozumiemy ich działalność pasterską. Pasterze prawosławni wydają swoje rozporządzenia, listy pasterskie, kazania, zachęty; w tych dokumentach ostrzegają wiernych przed szkodliwością katolickich wierzeń. Ażeby uzasadnić to, co powiedziałem, przytoczę tu kilka wyjątków z listów pasterskich biskupów prawosławnych kraju naszego. Nie biorę tego z pism prywatnych.

Mam pod ręką „Witebskie gub. Wiedomosti“ Nr. 130 z 10-go czerwca 1902 roku. Czytam w tem wydawnictwie, co następuje: „Mowa przeciwko katolikom, wypowiedziana w Połocku w soborze Mikołajewskim, w święto Wniebowstąpienia Pańskiego 22-go maja“. Nie będę przytaczał tu całej mowy, zbyt jest rozwlekłą, nie będę przytaczał i tych epitetów, któremi nas szanowny mówca obdarzył; przeczytam tylko zakończenie mowy, zwróconej do ludu białoruskiego: „Czy chcecie wreszcie przewodnictwa zbyt szkodliwych biskupów i księży, którzy oddali zdolny francuski lud w ręce i pod panowanie wrogów Chrystusa — wiarołomnych żydów i masonów (głos z prawicy: Istotna prawda). Czy chcecie, wy, ażeby te dwunogie zwierzęta, poprzednicy antychrysta, panowali nad waszymi wnukami i prawnukami, szerząc pogardę do waszych wierzeń, cierpień i cnót?

„A więc wzywam na głowy białorusinów, ochrzczonych w cerkwi prawosławnej, a przechylających się do kościoła, wszystkie te nieszczęścia i smutki, które zapowiada odstępcom słowo prorocze (Deuteron. XXVIII—14, 24, Ps. LXVIII 24 — 29 i CLIII — 7 — 15) to jest niepowodzenie w dziełach rąk ich, choroby śmiertelne, zaćmienie umysłu, bezdzietność, sieroctwo, zrujnowanie gospodarcze — i zgodnie z władzą nam daną polecamy wszystkim podwładnym nam duszpasterzom ogłaszać na przekraczających

próg kościelny białorusinów prawosławnych przekleństwo. Biskup połocki Serafim".

Nie powiem, ażeby mile dla nas brzmiały te słowa, my jednak na nie wcale się nie oburzamy. Jesteśmy bowiem tego zdania, że cerkiew i jej pasterz może tak lub inaczej działać na swą owczarnię, jest to sprawa wewnętrzna danego wyznania. Zwracam tylko uwagę panów, że tych, którzy słuchali lub też czytali słowa powyższe, nasz kapłan katolicki nie łatwo potrafi zdobyć, wszak ich od nas odstraszy pogróżka wyklęcia!

A oto, okólnik konsystorza grodzieńskiego, z tygodnika „Cerkiew" Nr. 4 za rok 1908. Cyrkularz ten zaleca proboszczom prawosławnym w cerkwiach ogłaszać tych wszystkich, którzy odpadną od prawosławia. Zaczyna od słów: „W imię Ojca, Syna i Ducha świętego", potem rekomenduje wywoływać imiona tych, którzy odpadli do katolicyzmu i ubolewać nad tem, że brat nasz dawny — X — odłączył się od cerkwi prawdziwej i przyłączył się do heretyków-katolików rzymskich. Wiernym i posłusznym dzieciom kościoła świętego naszego pamiętać należy, że wystrzegać się trzeba heretyków i odstępców, unikając ich i nie podtrzymując z nimi łączności braterskiej, jeżeli po pierwszem i drugiem upomnieniu nie zechcą się upamiętać.— X. nie przyjął upomnienia, pozostając w błędach heretyckich, a tak powodowany podnietą dyabelską, jako niegodziwy członek cerkwi sam siebie odłączył, wobec tego ogłasza się, że władzą naszego biskupa Michała, który od apostołów dziedziczy władzę swą—X, niegodziwy syn cerkwi, od tej chwili rzeczywiście zostaje odłączony od świętej cerkwi prawosławnej".

A dalej czytamy, co następuje: „W imieniu Pana naszego Jezusa Chrystusa i Przeczystej Matki Jego i wszystkich świętych Jego ogłaszamy: odstępca X. jest odłączony od Pana naszego Jezusa Chrystusa i wiecznego żywota z Nim i podpada *anatema, anatema, anatema, anatema. Amen*". Potem ogłoszeniu śpiewacy trzykroć śpiewają *anatema*. Panowie, pokreślam, że my, katolicy, nie wtrącamy się do obcych wyznań i nie mamy do duchowieństwa prawosławnego żalu za *anatemy*. To rzecz cerkwi i tej religii, która korzysta ze środków, jakie ma w swem rozporządzeniu i jakie uważa za stosowne w danej chwili. Cerkiew może grozić, wpływać na owce swoje, lecz po cóż przedstawiciele tej cerkwi przypisują nam to, co sami robią? Dlaczego dowodzą, że my w sprawach religijnych jesteśmy nietolerancyjni? Dalej twierdzę, że u nas propaganda w tym sensie, w jakim ją nam przypisują, wcale nie jest możebna. Zobaczmy, panowie, stosunek naszych dyecezyi naszych parafii tam w kraju, gdzie niegdyś były liczne parafie i więcej dyecezyi, niż dziś. Polityczne rozruchy i wyższe polityczne kombinacye wpłynęły na to, że wszystko to zaczęło stopniowo topnieć i dziś mamy zbyt mało dyecezyi, kościołów i parafii. Mam tu pod ręką pamiętnik gub. wileńskiej z lat ostatnich. Statystyka wyznaniowa wskazuje, że w Wilnie

jest 8,000 prawosławnych i mają oni 25 cerkwi. My zaś liczymy katolików 95,000, a kościołów większych i mniejszych mamy tylko 20. W powiecie również są cerkwie, które mają po kilkadziesiąt zaledwie parafian, np. gierwiańska 192, łazarewska 85, podbrzeska 87, niemeńczyńska 86. Inne po kilkaset, wtedy, kiedy my mamy całe tysiące. Na razie nic nie chcę powiedzieć o tych parafiach malutkich, nie mam zamiaru im ubliżać, tylko raz jeszcze zwrócić uwagę panów, że duchowieństwo prawosławne ma więcej czasu dla propagandy, niż my, którzy nieraz mamy parafie ludne od 5,000 do 10,000, najmniej 2,000 do 3,000 przy jednym najczęściej kapłanie i przy liczniejszych obowiązkach, niż u naszych oponentów. Tak, mniej więcej, jak tu panom pokrótce opowiedziałem, wygląda nasz stosunek do prawosławia w krajach, nazwanych kresami zachodniemi. Niech to oświetlenie spraw naszych pozwoli wam, panowie, sądzić bezstronnie o kwestyi religijnej u nas. Więc powrót do nas tych, którzy niegdyś od nas byli siłą zabrani, nie jest to zjawisko nieoczekiwane, nienormalne, raczej odwrotnie. I to, co, jak powiada biskup Eulogiusz, było żywiołowe, wróciło do swych granic naturalnych. Dziś, jeżeli się zdarzają przypadki przechodzenia prawosławnych na katolicyzm, są to zdarzenia pojedyńcze. Duchowieństwo prawosławne nam tu wyznało, że wielu z tych, co do nas przeszli, dziś znów wraca do nich, a więc jeżeli są podobne objawy, po cóż się bać wszechmocnej propagandy jezuickiej? Tembardziej po co wywoływać te wszystkie straszaki obecnie, kiedy projekt prawa nie mówi nam o propagandzie, a tylko o przechodzeniu z wyznania na wyznanie? Projekt chce to, co uznał ukaz kwietniowy i manifest październikowy, tylko uprawnić, postawić w pewne normy i paragrafy.

(D. c. n.).



Nauka i rozrywka.

Wielkość dzieł Bożych w ich ogromie. Ziemia jest wielka — powiadają ludzie — szeroka i długa, na której dla każdego człowieka dosyć się miejsca znajdzie, aby tylko w pracy i uczciwości żywot swój chciał prowadzić. Rzeczywiście tak jest, powierzchnia bowiem jej wynosi mil kwadra-

towych 9,278,960, a bryłowatość przeszło 2,657,804,000 mil sześciennych. Żeby choć mniej więcej pojąć ten ogrom naszej ziemi, trzeba zrozumieć dobrze, co to jest mila kwadratowa i co mila sześcienna. W pewnem dziełku poświęconem naukom przyrodniczym tak opis ten uskuteczniono, który w zastosowaniu do naszego kraju przedstawiamy: z Warszawy do Grochowa liczą zazwyczaj milę; przypuśćmy, że tak jest i wyobraźmy sobie, że od mostu całą długość szosy wzdłuż mili widzieć możemy. Otóż na całej tej drodze połóżmy długi kij, a skoro się przekonamy, że w istocie ma milę, podnieśmy go do góry na środku mostu w tem miejscu, gdzie stoi słup, od którego się rachuba mil rozpoczyna. Teraz spojrzyjmy w górę i zobaczmy jak też to wysoko. Jak to wysoko?

Przecież wiemy: mila.

Prawda, że wiemy, lecz trudnoby nam było jasny utworzyć sobie obraz bez użycia pewnych pomocniczych środków. Wystawmy więc sobie, że obok kija stoi równej wielkości posąg człowieka, posąg wysoki na milę, a nabędziemy już pewnego pojęcia o tej wysokości po niniejszej rozwadze.

Podeszwa stopy ludzkiej tworzy, jak wiemy, płaską powierzchnię, która przy naszym posągu będzie tak wielka, że okryłaby cały Nowy Zjazd do Wisły prowadzący. Gdybyśmy górę stopy takiego milowego człowieka chcieli obejrzeć, to trzebaby przysunąć wierzę św. Jana, na niej postawić obie Świętokrzyskie, jedna na drugą, następnie wierzę Maryacką i w dodatku kopułę PP. Sakramentek i wdrapawszy się na to wszystko, bylibyśmy może na równej wysokości, gdyż grubość stopy ponad Zjazdem sięgałaby 1,200 stóp. W posągu milowej wysokości kolano wypadłoby na ćwierć mili, czyli na 6,000 stóp w górze, a że najwyższe wieże w Warszawie mają mało co więcej, niż stóp 240, trzebaby przeto 25 wież takich na sobie ustawić, aby dosięgnąć kolana. Jeżeli dodamy jeszcze, że 25 piramid egipskich trzebaby na sobie postawić, aby wznieść się do bioder statuy, to z tego jasno poznamy, że aby sięgnąć do czubka jej głowy, musielibyśmy przysunąć całe góry, gdyż najwyższy ze szczytów ziemi w Himalajach ma milę wysokości. Ztąd da się przynajmniej zmysłowo pojąć, co to znaczy mila wysokości.

Lecz wróćmy do naszego prętu, którYśmy na środku mostu postawil i wystawmy sobie, że w odległości mili, a więc w Grochowie, stoi drugi podobny. Poprzybijajmy do niego deski tak, aby powstała ściana wzdłuż całej mili. Postępując coraz wyżej, przyjdziemy nakoniec do ściany na milę długiej i na milę wysokiej.

Czy to mila sześcienna? Broń Boże, dopiero kwadratowa, która, położona na płask, jest używaną do mierzenia wielkich powierzchni ziemi. Teraz wystawmy sobie jeszcze cztery podobne, zbite razem, jak skrzynka.

Dla zamknięcia jej u góry pomyślmy o pokrywie, także milę szerokiej i długiej, i takową na nią połóżmy. Skrzynka ta zajmie przestrzeń

mili kubicznej, czyli mili sześciennej. Będzie ona podobną do kostki, jakiej używa się przy grze w młotek i dzwonek, z tą tylko różnicą, że tu każda ściana ma milę długości i wysokości. Kiedy więc wiemy co to jest mila sześcienna, zastanówmy się teraz, co ona w sobie mieści.

W tym celu usuńmy pokrywę i spróbujmy napełnić co tylko się nam nasunie pod rękę. Warszawę mamy tuż obok, weźmy więc ją i wrzućmy ze wszystkiemi kamieniami i gmachami, jakie się w niej znajdują. Niewiele ona tam zajmie miejsca. Pośpieszmy zatem po Kraków i po drodze zbierzmy wszystkie miasta i miasteczka, wsie i osady, ale że to nawet dna nie pokryło, więc wrzućmy Paryż ze wszystkiemi łukami tryumfalnemi, słupami i wieżami. Wszystko to leci jak w otchłań i zaledwie znak tam po sobie zostawia. Dodajmy jeszcze: Londyn, Berlin, Wiedeń, wszystkie miasta większe i mniejsze, wszyskie wioski, fortece, zamki, nareszcie pojedyńcze osady. I to jeszcze za mało, wrzućmy więc wszystko, co tylko ludzkie ręce zrobiły, wszystkie okręty, statki, łodzie po morzu i rzekach płynące, wrzućmy piramidy egipskie, koleje i fabryki całego świata, wszystkie zapasy na składach zostające, a skrzynka zaledwie się do połowy napełni.

Kiedy jednak przyszło nam do głowy koniecznie ją całą napełnić, to spróbujmy, czy ludźmi tego nie dokażemy. Zbierzmy więc słomę, jaka się tylko na ziemi znajduje i rozpostrzyjmy ją w skrzynce, że jednak nie wystarcza, aby nierówności wypełnić i miejsca sterczące zakryć dostatecznie, weźmy więc bawełnę z jednorocznego jej zbioru w całym świecie i przy pomocy jej utwórzmy warstwę, która ludzi od niewygody zabezpieczy. Dla każdego człowieka trzeba dwie stopy szerokości, przeto wzdłuż skrzynki, która ma 24,000 stóp, umieścimy szereg z 12,000 ludzi, a że pragnęlibyśmy ich umieścić, przyjmiemy przeto, że każdy jest wysoki, tak, że na pokładzie słomy ułoży się 4,000 podobnych rzędów. Każdemu wiadomo, że 4,000 razy 12,000 wynosi 48,000,000, a że ludność Niemiec liczy właśnie mało co więcej nad 48 milionów jednostek, przeto cała niemiecka ludność znajdzie pomieszczenie w jednej tylko warstwie, czyli rzędzie. Nakryjemy ją teraz jakimkolwiek miękkim pokładem na stopę wysokim i ułużmy te trzy miliony ludzi co żyją w Australii, a jeszcze zostanie nam miejsca na 46 milionów mieszkańców Azyi. Pokrywajmy i tę warstwę nowemi rzędami, a w dziesięciu z nich zaledwie umieścimy 454 miliony mieszkańców składających ludność części Azyi. W ogóle części tylko dwadzieścia kilka warstw możemy ludźmi napełnić, a jeżeli każdą wraz ze słomą do przekładania użytą, rachować będziemy trzy stopy, to cała ludność ziemi, zajmie w skrzyni nie więcej jak stóp 90 wysokości, tak, że potrzebowalibyśmy ludzi sto razy tyle, co ich się na całym świecie znajduje, aby skrzynia choć w części została napełnioną.

Cóż więc nam pozostaje? Gdybyśmy też chcieli cały świat zwierzęcy

w skrzyni umieścić i wszystkie woły, osły, barany, konie, muły, wielbłądy, owce, słonie, wrzucić na tak upakowaną ludzkość, a na to ptactwo ryby, gady, robaki, słowem, wszystko, co tylko lata, chodzi, pływa lub pełza, to przecież nie doszlibyśmy do zapełnienia skrzyni bez pomocy skał i kamieni. Ale zapytacie zapewne, czyż niema sposobu, aby mili sześciennej zapełnić jakiemi sztucznemi środkami, za pomocą naprzykład maszyn, co z taką szybkością tyle rzeczy cudownych wykonywują? Spróbujmy, a lepiej się przekonamy jeszcze o wielkości mili sześciennej. Przypuśćmy cegielnię tak urządzoną, że co sekunda wychodzi z niej cegła gotowa, wysoka na pół łokcia, tyleż szeroka i gruba, to jest sześcian jedno-stopowy, czyli jedna stopa sześcienna. Cegielnia ta, pracując dzień i noc bez przerwy, wyrabiać będzie na minutę cegieł 60, na godzinę 360, a na całą dobę 86,400. W ciągu zatem roku wyda cegieł sztuk 31,536,000. Zobaczmy teraz, ile cegieł podobnych wejdzie do skrzyni, będącej milą sześcienną?

Ułóżmy je szeregiem tak, aby dno skrzyni pokryły. Każdy szereg milę długi, a więc ma 24,000 stóp, że zaś dno tyle rzędów pomieści, przeto dla pokrycia samego jedynie dna na stopę wysokości, potrzeba cegieł 576,000,000. Cegielnia dostarcza rocznie tylko 31,536,000, łatwo więc obliczyć, że pracując dzień i noc przez lat 18, nie zdołamy nawet pokryć całkowicie dna skrzyni. Ale skrzynia ma milę wysokości, do napełnienia więc jej całkowitego, trzeba 24,000 warstw jak ta, co dno jej pokrywa, które żeby przygotować, musianoby pracować bez przerwy przez lat 438,356. Gdyby Adam przed 6,000 laty dziesięć podobnych machin wystawił, to przy ciągłej ich pracy, siódma dopiero część skrzyni byłaby napełnioną. Taką jest mila sześcienna, a choć jej wnętrza nie napełni całe żywe stworzenie na globie naszym znajdujące się, ani wszystko co dotąd ręka ludzka zrobiła lub wybudowała na świecie, to jednak z kuli ziemskiej przeszło dwa biliony i pół miliona takich mil sześciennych dałoby się wykroić.

Przedstawiliśmy wam wielkość mili sześciennej, na której zapełnienie, nietylko ludzie całej ziemi ze wszystkiemi stworzeniami żyjącemi na lądzie, w powietrzu i w wodzie, nie wystarczyliby, ale nadto wszystkie miasta i wsie całej kuli ziemskiej, wszystkie wyroby ręki ludzkiej na całym rozsypane świecie, gdyby je wrzucono do skrzyni mającej milę sześcienną objętości, jeszczeby jej zapełnić nie zdołały.

Czemże jest więc człowiek pojedyńczy względem mili sześciennej?

Czemże będzie względem całej ziemi, mającej mil takich dwa miliony i pół przeszło miliona?

Naturalnie pyłeczkiem, drobnostką ledwie dostrzegalną, a jednak w pysze swojej zowiącą się panem i królem świata. Żeby pysze tej pokazać, jak jest śmieszną i niedorzeczną, wykażemy wam teraz, że jak człowiek

jest pyłeczkiem względem ziemi, tak ziemia tak samo jest pyłkiem w ogromie innych światów.

Najprzód więc rozważmy, jak jest wielkiem słońce. Słońce, patrząc na niego z ziemi, nie zdaję się być bardzo wielkiem, coś jak przetak albo koło mniejsze u wozu, a jednak sama średnica jego, czyli linia prosta przechodząca przez środek koła, ma długości 195,500 mil geograficznych. Jak to wielka jest miara i jak wielką jest kula, w której linia podobnej długości obracana w różnych kierunkach, wszędzie końcami swemi dotyka jej powierzchni, poznacie choć cokolwiek z następującego porównania.

Przypuśćmy, że mamy sznur równy długości średnicy słońca, czyli długi mil 195,500; gdybyśmy więc ten sznur uwiązali przy wieży kościoła Św. Jana, a z drugim jego końcem udali się na księżyc, mający średnicy 454 mile, to byśmy go sześć razy owinęli w najszerszem miejscu, powrócili znowu na ziemię, opasali kilka razy kościół i domy przyległe, następnie sześć razy na krzyż objechali ziemię, ciągle ją tym sznurem obwijając i jeszczeby go zostało reszty około 800,000 łokci, które sprzedane po dwa grosze, przyniosłyby zysku 8,000 rubli srebrem. Otóż taka jest długość 195,500 mil geograficznych.

Co do objętości słońca, to wiadomo, że obwód jego czyli równik przecinający słońce na dwie równe połowy, wynosi 604,760 mil geograficznych. Gdybyśmy sznur mieli podobnej długości, to choć księżyc odległy jest od ziemi na 50,000 mil, moglibyśmy sznur ten dwanaście razy złożyć, opasać nim księżyc, i jeszczeby wystarczyło do przymocowania go do ziemi. Jakkolwiek długość tą jest trudno sobie wyobrazić, trudniej jednak pojąć przyjdzie wielkość masy całego słońca.

Według obliczeń naukowych, bryłowatość słońca wynosi mil sześciennych 3,735,000,000,000,000, co się czyta trzy kwadryliony siedemset trzydzieści pięć trylionów. Jak to jest wielka objętość, dość wam powiedzieć, że chcąc ją utworzyć, trzeba takich ziem, na której mieszkamy blizko półtora miliona, a księżyców przeszło 70 milionów i wtedy dopiero utworzyłyby jedno słońce. Jak wielką jest mila sześcienna, wiecie już dobrze, ale nie macie pojęcia, jak wielką jest cyfra kwadrylionu. Otóż, gdyby człowiek licząc chciał dojść do kwadryliona i co sekunda wymieniał trzy cyfry, to licząc dzień i noc bez przerwy, rachunek swój zaledwieby ukończył w dziesięć milionów lat, chcąc więc zliczyć wszystkie mile sześcienne słońca, potrzebaby na to aż przeszło 35 milionów lat. Gdyby przy tworzeniu jego, co sekunda powstawała jedna mila sześcienna, to musiałoby 105 milionów lat upłynąć, zanimby słońce przeszło do dzisiejszej swojej wielkości.

Pragnąc jeszcze widoczniejsze zrobić sobie pojęcie wielkości tej cudownej gwiazdy, to wyobraźmy sobie, że ta jest wydrążoną i że w jej pu-

stym obszarze w samym środku pomieszczoną została ziemia, a przy niej księżyc w odległości w jakiej się znajduje, a wynoszącej 50,000 mil geograficznych. Otóż w takim razie księżyc nie tylko mógłby dopełniać obieg swój zwykły około ziemi, ale nadto od obrotu jego, aż do ostatnich krańców obwodu słońca, pozostałaby jeszcze przestrzeń, wyrównywająca odległość księżyca od ziemi. Szybki wóz parowy ubiegający sto mil na dobę, potrzebowałby do objechania ziemi po równiku dni 60, do objechania zaś równika słońca lat 16. Jakże więc wielkiem jest słońce w stosunku do ziemi, cóż dopiero do człowieka, do tych dóbr ziemskich tak przez niego upragnionych i pożądanych?...

Mimo jednak tego przekonacie się wkrótce, że i to słońce, pomimo swego ogromu w stosunku do innych ciał niebieskich, jest również malutkim pyłkiem ginącym w niezmierzonej powierzchni niebios.

Taka to jest wielkość dzieł Bożych w ich ogromie.

Ze wspomnień historycznych. Dnia 23 czerwca 1601 r. odniosły wojska litewskie świetne zwycięstwo nad Karlsonem Szwedzkim pod Kokenhausen w Inflantach.

Karlson, chcąc dać pomoc oblężonemu przez Litwinów Kokenhausenowi, wysłał odsiecz. Dowiedziawszy się o tem hetman Radziwiłł, wysłał Chodkiewicza, ażeby stawił czoło Szwedom. Chodkiewicz, uszedłszy milę, wysłał na zwiady około 200 kozaków, którzy schwytali Szweda nazwiskiem Freidem. Od tego Chodkiewicz dowiedział się, że nieprzyjaciel stoi w odległości trzech mil i że za parę dni zamierza wyruszyć. Chodkiewicz doniósł o tem hetmanowi, a ten rozkazał mu cofnąć się do głównej siły. Radziwiłł zamierzył teraz wspólnemi siłami armii litewskiej uderzyć na Szweda.

Tymczasem dziwy rozpowiadano o tym ostatnim. Mówiono, że dla obrony przed atakami strasznej jazdy polskiej prowadzi razem piechotę, pomieszaną z jazdą, że ma mnóstwo wozów, z których w razie potrzeby tabor może utworzyć. Nie zważał na to hetman litewski, stanął nieopodal od Kokenhausen, środek trzymał Chodkiewicz, na prawem skrzydle z świetnemi szeregami jazdy królewskiej stanął Dorohostajski, marszałek wielki litewski, na lewem Stabrowski, kasztelan parnawski, z piechotą i działami polowemi. W drugiej linii stanął sam hetman Radziwiłł z wyborem jazdy, a jeszcze dalej w rezerwie na wzgórzu część piechoty z ciężką artyleryą.

Szwedzi liczyli sześć tysięcy ludzi.

Karlson wziął najprzód szturmem wieś, będącą na froncie linii polskiej, osadził tę wieś piechotą i działami i rozwinął się o świcie dnia 23 czerwca do bitwy w półksiężyc. Najprzód ruszyło do boju lewe skrzydło nieprzyjacielskie, złożone z Niemców i Inflantczyków, i uderzyło na Chodkiewicza tak dzielnie, że szeregi litewskie poczęły się chwiać, a nawet pie-

rzchać. W tej chwili Chodkiewicz, widząc niebezpieczeństwo, spiął konia ostrogami, zatrzymał uciekających i porwawszy żelazne szwadrony husarzy, natarł na wroga. Atak, jak zwykle, był tak dzielny, tak szalony, że ława szwedzka zachwiała się, i stratowana końmi husarzy, uciekać poczęła. Współcześnie uderzył Dorohostajski i Stabrowski. Nieprzyjaciel, zachwiany szalonym atakiem husaryi, wszędzie ustępował, wtedy sam hetman Radziwiłł rzucił swą wyborową jazdę, i to, czego nie stratowała i nie rozniosła końmi, to z kretesem rozpędziła. Zaraz potem Kokenhausen się poddał.

Londyn w cyfrach. Z urzędowej statystyki (listopad 1908 r.) wynika, że w granicach administracyjnych Londynu żyło 4,795,788 osób, nie wliczając w to 3-ch milionów mieszkańców, żyjących w najbliższem sąsiedztwie tego olbrzymiego miasta. W Londynie rządzi 101 rad miejskich lub innych ciał nutonomicznych, składających się z 3,783 członków.

Na godzinę rodzi się w Londynie 14 osób, a umiera 8. Długość wszystkich ulic razem wziętych wynosi 3,415 klm. Londyn ma 611,876 domów, 28,265 fabryk i pracowni i 9 akrów parków i ogrodów publicznych.

Nieruchomości Londynu ubezpieczone są na łączną sumę 1,040,057,846 funt. szterl. Sumy corocznie poświęcone na ulżenie nędzy wynoszą 100 milionów rubli.

Londyn zjada rocznie 419,037 ton bitego mięsa importowanego, 58,735 wołów, 375,950 baranów, 174,332 ton ryb, 340 milionów litrów mleka; 60,275 osób zajętych jest sporządzaniem środków spożywczych: 13,756 pracuje piekarzy, 5,242 cukierników, 2,406 pracuje w fabrykach czekolady, 9,885 warzy piwo, a 4,283 osób wyrabia wody gazowe. Wspomnianych powyżej 28,265 fabryk i pracowni zatrudnia 558,641 osób. Sporządzaniem odzieży zajmuje się 130,500 krawców w 9,499 fabrykach i pracowniach.

Walka pod wodą. W pewnem francuskiem czasopiśmie myśliwskiem niejaki P. opisuje zdarzenie, które w dziejach myśliwstwa do rzędu wyjątkowych słusznie zaliczyć można. W listopadzie roku przeszłego zaproponował mu pewien inżynier w Tulonie, aby z nim, oraz z jednym nurkiem z profesyi zrobił wycieczkę na podmorskie skały u wysp Hyerskich. Pan P. chętnie się zgodził i wszyscy trzej, zaopatrzywszy się w nurkowe aparaty, puścili się łodzią na oznaczone miejsce. Aparaty zrobione z kauczuku, posiadają u kapturów miedzianych szklane okienka, oraz rurki kauczukowe, służące w części za przewody dla świeżego powietrza, w części za trąbki bądź słuchowe, bądź też głosowe, przez które się nurek porozumiewa z będącymi w łodzi towarzyszami; u nóg ma każdy ołowiane podeszwy, żeby się łatwiej na dnie morskiem mógł trzymać. Kiedy pan P. w hermetycznym

swym aparacie spuścił się w morze, raptem zabębniło mu w uszach, tak gwałtownie, że aż struchlał z przestrachu, sądząc, że to się woda do przyrządu jego wcisnęła; ale się uspokoił, pomiarkowawszy, że łoskot ten sprawiało powietrze, ciężarem jego ciała z wody wyparte. Co do wzroku, rozróżniał on wyraźnie otaczające go przedmioty, ale horyzont miał nadzwyczaj ograniczony — o kilka kroków odeń zaczynały się nieprzejrzane ciemności. Czucie jego podobnież znalazło się w stanie szczególnym: był prawie nieświadomym, czy miał pod nogami grunt stały; zdawało mu się, że zupełnie wagę utracił; ruszał się, jakoby unoszony w obłoku, ślizgał się, pływał stojący. Dalej tak opowiada:

„Inżynier i nurek zbliżyli się do mnie pod wodą. Chcąc rozmawiać i naradzać się względem dalszych swych kroków, stykaliśmy się wzajem głowami, przyczem metal dosyć wyraźnie z jednego hełmu do drugiego dźwięk naszego głosu przenosił. Postanowiliśmy się udać na podwodne skały Hyerskie, na które mogliśmy się wgramolić przy pomocy swych aparatów. Zawołaliśmy więc przez trąbki głosowe na wioślarzy, prowadzących łódkę, aby w tamtę stronę płynęli i poszliśmy powoli, po mięciuchnem i równem dnie piaszczystem. Znajdowaliśmy się 18 metrów pod wodą, przez którą blask słoneczny do nas dochodził, najczystszą barwą szmaragdową omglony. Wkrótce ujrzeliśmy przed sobą skały, pokryte polipami, jak przepysznym kobiercem, a z ich szczelin strzelały morskie trawy i kwiaty, to zielone, to purpurowe, to żółte, to błękitne, jakich nigdy ani na ziemi, ani też w akwaryach nie spotykałem; algi, jak węże w zieloną sieć splecione, rozścielały się nad naszemi głowami; deptaliśmy po prześlicznych muszlach różnobarwnych, a roje ryb, o kolorach, kształtach i rozmiarach najrozmaitszych, co chwila, już to ku nam podpływały ciekawie, już to jak zaklęte raptem znikały. Byłem zachwycony, oczarowany!

Wędrowaliśmy tak blizko kwadrans, gdy nurek, który postępował na przodzie, stanął nagle i skinął, abyśmy się też zatrzymali. Poczem zbliżył się do nas i zawołał: „Włócznik!“ [1]) Na ten wyraz ciarki mię przeszły! Siła bowiem i złość tego potwora dobrze jest znaną, a ten, który ku nam nadpływał, był długi na dwa metry, oprócz włóczni, wynoszącej pewno z połowę tego. W mgnieniu oka się naradziwszy, dobyliśmy sztyletów, któreśmy wzięli z sobą na tę wyprawę, i stojąc w miejscu, czekaliśmy na wroga, gdyż uciekać było już niepodobna. Konwulsyjnie ścisnąłem sztylet i rękę uzbrojoną położyłem na piersiach. Zrazu nam się zdawało, że się potwór nas boi, że się waha i chce odpłynąć; lecz raptem się zatrzymał, utkwił w nas czarne oczy niewielkie, zgiął się w kabłąk i skoczył. Źle wymierzył i tem

---

[1]) Ryba morska, której szczęka górna wydłużona jest nakształt miecza długiego.

się zgubił. Nurek nasz, poruszenia jego bacznie śledzący, umknął w bok, nim napastnik w niego ugodził, porwał go silną dłonią za włócznię, wymierzoną przeciwko sobie, i wbił mu sztylet w głowę. Krew trysnęła strumienem, lecz woda ją w momencie spłókała. W ślad za tem poszło drugie i trzecie pchnięcie. Potwór przewracał się, kurczył, wyprężał i miotał na wsze strony odważnym nurkiem, który włóczni jego z ręki nie puszczał; myśmy także dopadłszy do potwora, żgali go sztyletami, to w kark, to w brzuch, to w głowę, jednem słowem gdzie tylko można było. Siły ryby olbrzymiej z każdą chwilą słabły widocznie, aż wreszcie z rozpłatanem podbrzuszem na wznak się przewróciwszy, zwolna na powierzchnię wody wypłynęła.

Nie życząc sobie wcale spotkać się raz jeszcze z taką przygodą, z której już może nie tak łatwo wyszlibyśmy ręką obronną, wróciliśmy zaraz do łodzi, gdzie swoje aparaty złożywszy, wyciągnęliśmy osobliwszą zdobycz na pokład. Nie wiem, czy jest jadalnem mięso włócznika, którego nasi ludzie poćwiartowali. Myśmy tylko zdjęli zeń skórę, a inżynier kazał ją wypchać i dotąd zachowuje w swojej pracowni, na pamiątkę tej dziwnej walki w głębi morza".

Historya tytoniu. Bardzo wielu z młodych, bo zaledwie kilkunastoletnich, lubi cichaczem palić papierosy: chętka to zdrożna i bardzo dla zdrowia szkodliwa, w Szwajcaryi karaną jest aresztem publicznym. Pomijając szkody, jakie tytoń przynosi, podamy wam niektóre historyczne szczegóły.

Nie jest dowiedzionem, czy Chińczycy znali użycie tytoniu przed Amerykanami, to wszakże jest rzeczą pewną, że Kolumb w roku 1492, gdy wylądował na wyspie Kubie, widział tamtejszych mieszkańców palących cygara, a jego towarzysz, ojciec Roman Pane, znalazł na wyspie San Domingo, że tamtejsi dzicy, dla ochronienia się od drobnych owadów (Moskito) zwinięte liście tytoniowe palili. W roku 1520 znaleźli Hiszpanie plantacye tytoniu w Yucatan. W r. 1559 Hermanedr z Toledo, lekarz nadworny Filipa II-go, sprowadził roślinę tytoniową do Hiszpanii i Portugalii. W rok później otrzymał z Florydy francuski poseł w Lizbonie, Jan Nicot, kilka egzemplarzy rośliny tytoniowej, którą w swoim ogrodzie hodował, jako roślinę lekarską przeciw liszajom i złośliwym wyrzutom skórnym. Od niego roślina przybrała nazwę Nicotiana, poprzednio poselską rośliną nazywana. Od tego czasu rozszerzył się w Hiszpanii zwyczaj palenia tytoniu w Europie. Franciszek Drake po swoim powrocie do Anglii w r. 1586 i generał Walter Raleigh, który odkrył Florydę, upowszechnili palenie tytoniu w Anglii. We Francyi zażywać tabakę zaczęto między rokiem 1610—1643 za Ludwika XIII. Cesarz i Papieże wydawali surowe prawa przeciw paleniu tytoniu. Roku 1634 było pod karą odcięcia nosa wzbronione. Papież Urban VIII wydał roku 1624 bullę przeciw wszystkim palącym tytoń i zaży-

wającym tabakę, a królowa Elżbieta zabroniła w Anglii zażywania tabaki w kościele. Jakób I w r. 1604 ustanowił podatek półtrzecia talara na funt tytoniu, zabronił wirgińskim plantatorom więcej tabakowego hodować nad 100 funtów i sam własnoręcznie pisał przeciw tej roślinie. Karol I prześladował niemniej tytoń. Sułtan Amurat IV kazał w r. 1610 jednemu palącemu tytoń, fajkę przez przebity nos przeciągnąć i dla przestrogi po ulicach oprowadzać. Nakoniec Innocenty XII zdjął klątwę, wydaną na palących, Benedykt XII na zażywających, i stopniowo przyszedł tytoń do zaszczytu, że znalazł w kolegium tabacznem króla pruskiego Fryderyka Wilhelma I zupełne uznanie.

Zadanie arytmetyczne do nagrody.

Ojciec pewien, zapytany,
Licznyż zastęp ukochanej
Dziatwy w domu swoim chowa —
W te, mniej więcej, odrzekł słowa:
— Wskaże to rachunku wątek:
Z mych dziewczątek-niebożątek,
Każda trzykroć mniej, mój Boże!
Sióstr niż braci zliczyć może;
Każdy z męskiej zaś mej dziczy
Sióstr i braci równo liczy.
Stąd pytanie nam wpłynie,
Ileż dziatwy w tej rodzinie?

Za najlepszą odpowiedź redakcya przeznacza książkę p. t. „W Szponach pruskiej hakaty“. Po wskazaniu ustnie lub listownie dokładnego adresu, nagrodzona lub nagrodzony niezwłocznie ją otrzyma.



Przeciw jednej z największych plag ludzkości.

Alkohol jest trucizną.

Nieraz słyszymy następujące zdanie:

— Musimy pić, bo alkohol zawsze trochę zagrzeje i ratuje od zmarznięcia. Jak znieślibyśmy ostrą zimę lub wilgotną jesień i wiosnę bez alkoholicznych napojów? Po ich użyciu błogie ciepło przejmuje członki i t. d.

Gdyby zaprawdę alkohol tak bardzo zagrzewał, toby żaden pijany zmarznąć nie mógł. A gdyby legł na śniegu albo nawet na lodzie, toby wtedy śnieg i lód tając musiał z przyczyny ciepła, które alkohol daje. A jak jest rzeczywiście? Gdy nagle wielka zima nastaje, to wielu ludzi ginie od zmarznięcia? Czemu? Po największej części dla tego, że się za wiele alkoholem zagrzewali. Na stwierdzenie tego przytoczymy kilka wydarzeń.

W Ameryce, w górach Sierra Nevada, odbywała podróż liczna kompania ludzi. Na noc przyszedł tęgi mróz.

Jedni przed spaniem ogrzali się gorzałką, a drudzy nie. Rano wstrzemięźliwi powstali żywi, z tych zaś, co się ogrzewali gorzałką, pozostały tylko trupy.

Gdy Karol XII, król szwedzki, w roku 1708 prowadził wojnę z Rosyą, to zmarzło mu na śmierć 4,000 żołnierzy z tych, co się gorzałką zagrzewali. Sto lat potem, gdy cesarz Napoleon I wracał z pod Moskwy, wielu żołnierzy nie ujrzało już swej ojczyzny.

Cóż było tego powodem?

Bronili się przed przejmującem zimnem, rozgrzewając się gorzałką. Niektórych znaleziono trzymających jeszcze flaszkę z gorzałką.

W naszych zaś czasach sławny podróżnik Nansen, który dotarł wśród wiecznych lodów do wnętrza Grenlandyi, przypisuje udanie się swej wyprawy temu, że ani on, ani nikt w jego towarzystwie nie używał alkoholu.

Z pewnością po wypiciu gorzałki rozchodzi się ciepło po całem ciele, ale wytłómaczyć można to łatwo. Alkohol w ciele się spali i tworzy ciepło, ale razem wypędza krew na zewnątrz, do skóry, a otwiera tam naczynia krwionośne skóry, tak, że ciepło szybko odchodzi. Dla tego też ludzie, używający alkoholu mają nos czerwony, a zamiast przestać pić, aby się pozbyć czerwonego nosa, piją wytrwale i mają nos modry. Ciepło więc będące w ludzkiem ciele po wypiciu alkoholu zostaje wyparte na zewnątrz i ztąd

zdaje się nam jakoby w nasze ciało, nowe ciepło weszło. Ścisłe mierzenia ciepłoty naszego ciała wykazały, że ciało nie zyskuje, ale traci ciepło przy używaniu alkoholu. Jedynym środkiem przeciw marznięciu jest posilne pożywienie, należyty ruch i ciepła odzież, ale nie alkohol.

To mnie nic nie obchodzi.

Towarzystwo abstynentów w St. Louis, jak pisze „Miesięcznik dla popierania ruchu wstrzemięźliwości"—wychodzący w Pleszewie, udało się do pewnego obywatela z okolicy z prośbą o współpracownictwo. Otrzymało odpowiedź:

— To mnie nic nie obchodzi.

Kilka dni później jechał ów pan na dworzec po swą żonę i córki. Na dworcu usłyszał słowo: „wykoleił się", które go zaniepokoiło.

Czyżby się miało stać jakie nieszczęście?

Na błagalne swe pytanie, dowiedział się od urzędnika kolejowego, że przed miastem pociąg się wykoleił. Natychmiast telegrafuje do St. Louis.

500 dolarów za lokomotywę!

Odpowiedź: Nie można.

1000 dolarów za lokomotywę!

Odpowiedź: Maszyna z lekarzami już odjechała na miejsce nieszczęścia.

Trupia bladość pokryła oblicze owego pana. Pół godziny zdawało się wiecznością. Wreszcie pociąg nadszedł.

W wagonie towarowym, zamienionym na lazaret, znalazł nieszczęśliwy trupy swej żony i córki, w drugim wagonie leżała starsza córka w stanie beznadziejnym.

To go obchodziło.

A jaka była przyczyna nieszczęścia?

Kilka kieliszków gorzałki, które urzędnik kolejowy wypił i przez to po pijanemu pociąg wykoleił.

Testament mordercy.

W Budyszynie w kwietniu 1897 r. — jak pisze dr. Bode — stracono mordercę nazwiskiem Hoche, którego testament niejednemu może być nauką. W tym testamencie pisze:

Człowiek na raz nie staje się mordercą. Gdy się pytam, co mnie zrobiło mordercą, to mam jedną tylko odpowiedź: gorzałka.

Powoli się zaczęło. Już od młodych lat nic innego nie widziałem. Ojciec mój był pijak i w pijaństwie w śniegu zamarzł i marnie zginął. Wy

ojcowie, którzy jesteście pijakami, pamiętajcie, że zatruwacie złym nałogiem krew i złym przykładem życie swych dzieci. Wyszedłszy ze szkoły, byłem mularzem i jak wszyscy mularze, piłem gorzałkę. Z początku byłem jeszcze pilnym i dobrym i zarabiałem ładne pieniądze. Lecz im więcej zarabiałem, tem więcej przepijałem, a im więcej piłem, tem więcej uchodziła chęć i siła do pracy. Od dnia do dnia szło gorzej ze mną. Dostałem się do więzienia, ale gdy wyszedłem, znowu piłem. Nareszcie już nie pracowałem; żona musiała mnie żywić. Byłem zadowolniony, gdy mnie żona dała na gorzałkę, a jeżeli nie chciała dać, biłem ją. Dzieci moje musiały chodzić po gorzałkę, nim poszły do szkoły i w wieczór, gdy przyszły z roboty. Gorzałka była moją myślą jedyną, moim napojem pierwszym i ostatnim. Chcę milczeć o tem, jakich występków szkaradnych się dopuściłem, ponieważ gorzałka mi była odebrała wolę, tak, że żyłem jak bydlę. Nareszcie po pijanemu zabiłem moją żonę. To było ostatnie ogniwo w łańcuchu grzechów i zbrodni, do których mnie gorzałka zawiodła.

Jutro mam za to być karany. Jutro mi za to odetną głowę. Zasłużyłem na śmierć. Umieram z sercem skruszonem. Niech Pan Bóg mi będzie łaskaw! Ale przed śmiercią pragnę jeszcze wysłać głos przestrogi do świata. To ma być mój testament.

Ten głos ma przestrzedz przedewszystkiem was, moi przyjaciele i towarzysze, którzyście nieraz ze mną pili. Nawróćcie się ze złej drogi. Mój przykład pokazuje wam, dokąd alkohol prowadzi. Rzućcie flaszkę o ścianę, póki jeszcze czas, zanim was gorzałka tak daleko jak mnie zaprowadzi.

Ten głos ma napominać was, moich współtowarzyszy, mularzy i cieśli, albo czemkolwiek jesteście! Myślicie, że bez gorzałki nie można żyć — że ona trochę nie szkodzi byle być umiarkowanym. Ale czy możesz zatrzymać w biegu toczącą się kulę? Kieliszkami się zwykle poczyna, a kwartami się kończy. I ja nie zacząłem od razu kwartami. Jeżeli więc chcecie być i zostać zdrowymi ludźmi, wesołymi robotnikami, dobrymi ojcami — tedy precz z gorzałką, nie pijcie już ani kropelki!..

Straszny sąd.

W pewnej krainie żyła staruszka, przygarbiona wiekiem i troskami. Całe życie pracowała dla swego ukochanego jedynaka. Syn źle odpłacił matce poniesione trudy. Przemarnował grosz krwawo zapracowany z lekkomyślnymi przyjaciółmi, dni i noce przepędzał w złem towarzystwie i zniszczył szczęście i zdrowie przez występne życie i brnął coraz dalej w rozpuście. Od swej matki domagał się bezustannie pieniędzy i pięknej odzieży. Biedaczka dawała jak długo mogła. Wyrodny syn, pędząc życie w dostatkach,

zdawał się nie widzieć, że matka głód i biedę cierpiała. Wreszcie został wydany ostatni grosz. Teraz dopiero okazała się ohydna natura syna w całej brzydocie. Groźbami i przekleństwami wypędził staruszkę z domu, by pracowała i przynosiła mu pieniądze. Gdy wróciła późno wieczorem znużona do domu i opowiedziała synowi, że nic nie zarobiła, bo nikt jej roboty nie dał, wtedy potwór uniósł się strasznym gniewem,—porwał bat i zbił nim matkę bez miłosierdzia. To powtarzało się codziennie. Długo biedaczka znosiła swą dolę, nie skarżąc się nikomu. Wreszcie obawiając się o swe życie, udała się do sędziego i ze łzami opowiedziała swe nieszczęście. Mądry sędzia, wysłuchawszy ją spokojnie, pokiwał w końcu głową i rzekł:

„Powiadasz, że syn jako dziecko był dobrym, któż zepsuł go w wieku młodzieńczym?"

Wtedy zawołała staruszka z płaczem:

„Pijaństwo, jedynie pijaństwo!

— Dobrze, surowo ukarzę wyrodnego nędznika! — rzekł sędzia. Lecz ukażę również tych, którzy go pijaństwa nauczyli. Temu, który mu podał pierwszy kieliszek, odetnę prawą rękę!"

Wtedy zbladła kobieta i zadrżała z trwogi. Na zapytanie sędziego, co jej jest, odrzekła:

— O, sędzio, otworzyłeś mi oczy! Moja prawa ręka padnie pod katowskim toporem.

Ona to pierwsza podała synowi, gdy był jeszcze dzieckiem pierwszy kieliszek wina.

— To złe, które w zaślepieniu macierzyńskiem zaszczepiłam, wydaje przeklęty dla mnie taki owoc.

Wzruszony do głębi tem samooskarżeniem, podniósł sędzia nieszczęśliwą i rzekł:

— Idź w pokoju! Dalekim od tego, aby cię sądzić. Pan Bóg sam wydał wyrok. Coś zasiała, to też sprzątasz!



Złote słowa i czyny.

Odpowiedź Agesilasa.

Agesilas, jeden z najcnotliwszych królów Lecedemony, rozkazał umierając, aby nie malowano jego wizerunku, ani nie wznoszono mu posągów,

— Jeżeli czyny moje na pamięć potomności zasłużyły — dodał — będą one prawdziwemi i trwałemi pomnikami mojej chwały, — a jeżeli przez całe życie nic nie uczyniłem dobrego, to mi obrazy i posągi nic nie pomogą.

Godne pamięci.

Pytano raz Gazaleda, uczonego mahometańskiego, jakim sposobem zdołał dojść do swej olbrzymiej wiedzy?

— Nie wstydziłem się nigdy — odpowiedział — pytać o to, czego nie umiałem.

Skromność Epaminondasa.

Nieprzyjaciele sławnego wodza tebańskiego Epaminondasa, chcąc go upokorzyć, dali mu urząd, który zależał na doglądaniu czyszczenia i zamiatania ulic. Nie obraził się wcale, a pełniąc nowy swój urząd z całą godnością, umiał pokazać tym co dotknąć i ośmieszyć go chcieli, że żadne stanowisko nie poniża człowieka, ale człowiek każde może podnieść i zmusić swe otoczenie do poszanowania.

Ś. p. Zygmunt Noskowski.

Sztuka polska muzyczna poniosła ciężką stratę przez zgon ś. p. Zygmunta Noskowskiego, wykształconego muzyka, o którym, jako o uczniu swoim, mawiał Stanisław Moniuszko, że talentem przewyższył innych.

Słowa wielkiego kompozytora naszego sprawdziły się, gdyż ś. p. Zygmunt Noskowski wysoko podniósł sztandar sztuki polskiej. Bądź to na stanowisku dyrektora orkiestry Teatru Wielkiego w Warszawie, bądź profesora Konserwatoryum, bądź jako kompozytor oper i mniejszych utworów muzycznych, zmarły muzyk zawsze i wszędzie pracował na chwałę sztuki polskiej i ku jej wywyższeniu.

I dziatwa polska zawdzięcza mu piękny śpiewnik, który zawiera nasze swojskie, ukochane melodye w przepięknem opracowaniu przedwcześnie dla sztuki zmarłego muzyka.

Warszawa a z nią wszystkie ziemie polskie uczciły pamięć zmarłego szczerym i serdecznym żalem, gdy złożono go do snu wiecznego na cmentarzu Powązkowskim.

Odpowiedzi od Redakcyi.

W-na Pani Stefanja Z. w W. Obraz M. B. Częstochowskiej pięknie kolorami wykonany, przeznaczony na premium—„Dzwonka Częstochowskiego“ jest już gotowy i wkrótce roześlemy go wszystkim tym całorocznym—prenumeratorom naszego pisma *którzy* wyrażą życzenie posiadania go.



Wszystkich przyjaciół „Dzwonka Częstochowskiego” upraszamy o rozpowszechnianie tego czci Maryi Królowej Nieba i ziemi poświęconego pisma wśród rodzin chrześcijańskich.

Szanownych Prenumeratorów, zalegających w opłacie prenumeraty, upraszamy o możliwie rychłe jej nadsyłanie.

Upraszamy, ażeby przy odnawianiu prenumeraty lub w razie zmiany adresu, Szanowni Prenumeratorzy raczyli oprócz nowego podawać i stary adres, pod którym dotychczas odbierali „Dzwonek Częstochowski”.

W celu uniknięcia różnych nieporozumień, najlepiej nadsyłać prenumeratę wprost do Redakcyi „Dzwonka Częstochowskiego“, Częstochowa, pod Jasną Górą.



NOWE KSIĄŻKI.

Wyszły z druku dwie bardzo pożyteczne broszurki.

Pierwsza p. t. „**Najpraktyczniejszy sposób wyrobu win owocowych**” przez Fr. Mierzejewskiego, druga p. t. „**Główne zasady zakładania i pielęgnowania sadów dochodowych**” przez Stefana Karczewskiego, opatrzona 74 rysunkami w tekście.

20% ze sprzedaży drugiej ofiarowuje nakładca na Polską Macierz Szkolną.

DYREKCYA

Drogi Żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej

podaje do wiadomości, że na czas trwania wystawy Przemysłu i Rolnictwa w Częstochowie t. j. od dnia 23 Lipca (5 Sierpnia) do dnia 17/30 Września będzie w biegu na dzień otwarcia wystawy, t. j. w nocy na 23 Lipca (5 Sierpnia) i w nocy z każdej Soboty na Niedzielę, lub święto, a mianowicie na: 26 Lipca (8 Sierpnia), 2/15, 9/22, 16/29 Sierpnia, 23, 26 i 30 Sierpnia (5, 8 i 12 Września), 6/19 i 13/26 Września, z Warszawy do Częstochowy, ekstra-pociąg osobowy № 19-bis i z powrotem z Częstochowy do Warszawy będzie w biegu w te same wyżej wskazane, dni ekstra-pociąg osobowy № 18-bis według zamieszczonego poniżej rozkładu:

Pociąg Nr. 19 bis					STACJE	Pociąg Nr. 18 bis				
Przybycie		Postój	Odejście			Przybycie		Postój	Odejście	
g.	m.	m.	g.	m.		g.	m.	m.	g.	m.
n o c y			12	05	Warszawa	6	00	r a n o		
1	27	10	1	37	Skierniewice	4	09	10	4	19
2	32	10	2	42	Koluszki	3	06	10	3	16
3	38	10	3	48	Piotrków	1	58	10	2	08
4	52	10	5	02	Nowo-Radomsk	12	44	10	12	54
6	00	r a n o			Częstochowa	wieczór			11	45

Godziny oznaczone podług południka Warszawskiego.

Dla przewozu podróżnych w pociągach wyżej wskazanych wprowadzoną została niżej zamieszczona specjalna zniżona taryfa (ogłoszona w zbiorze Taryf № 2080 pod № 13553) na przejazd podróżnych klasy II i III-ej za biletami powrotnemi od niżej wskazanych stacji do stacji Częstochowa i z powrotem, podług cen następujących:

do stacji Częstochowa i z powrotem / Od stacji	Ceny biletów powrotnych			
	II klasa		III klasa	
	dla dorosłych	dla dzieci od 5 do 10 l.	dla dorosłych	dla dzieci od 5 do 10 l.
	w rublach			
Warszawa W	7.25	1.82	4.14	1.04
Skierniewice	5.67	1.43	3 23	0.81
Koluszki	4.31	1.08	2.46	0.62
Piotrków	3.00	0.76	1.71	0.43
Noworadomsk	1.46	0.36	0.83	0.21

Podróżni zaopatrzeni w powyższe bilety przyjmowani będą wyłącznie tylko na wskazane wyżej pociągi i przejazd za tymi biletami innymi pociągami nie jest dozwolonym.

Wszystkie pisma warszawskie proszone są o przedrukowanie wiadomości, że kolej Wiedeńska gotowa jest wysyłać codziennie pociąg specjalny ulgowy na wystawę, o ile zgłosi się ktoś do dyrekcji dr. żelaznej w imieniu 100 pasażerów.

Redaktor i Wydawca: **Ksiądz Józef Adamczyk.**

Druk Drukarni Polskiej (L. Straszewicza), Warszawa, Jasna 2.